

Weronika Kalisiak



ZNAKI
PRZEZNACZENIA

Weronika Kalisiak

ZNANKI
PRZEZNACZENIA

Pierwszy tom serii „Przeznaczenie Jedni”

Copyright © by Weronika Kalisiak, 2026

Wydanie I
Warszawa 2026

Redakcja: Angelika Kuszła | @poradnia.redakcyjna
Korekta po składzie: Kinga Dolczewska | @korektorowo
Grafika na okładce, mapa i rysunki: Ewa Bazylińska | @awewawewa
Skład okładki i wnętrza: Katarzyna Mróz-Jaskuła | @wielogloska

ISBN 978-83-978421-1-3

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Książka dostępna w sprzedaży na stronie
romantasy.world

ELARIA



SOLVENDOR



DRAKHAIM



VIRELDA



NARTHOR

KSIĘGA KRÓLESTW

Solvendor – Królestwo Światła i Powietrza

Alanya – księżniczka koronowana na królową Solvendoru

Drakhaim – Królestwo Ognia i Wojny

Lythara – królowa Drakhaimu

Lord Corien – brat królowej Lythary

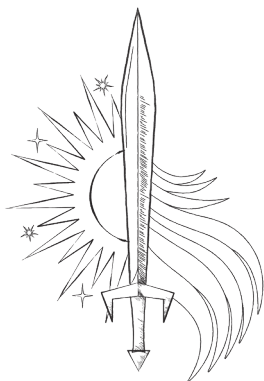
Virelda – Królestwo Wody i Iluzji

Valmor – król Vireldy

Kaen – książę Vireldy

Narthor – Królestwo Cienia i Ziemi

Raven – król Narthoru



ROZDZIAŁ I

Patrzenie na morze zawsze uspokajało Alanyę. Bezmiar wody i zapach soli w powietrzu sprawiały, że czuła się wolna. Wiatr płątał jej włosy, muskając policzki jak stary przyjaciel, a fale w oddali uderzały rytmicznie o skały, jakby morze znało melodię, której ona dopiero musiała się nauczyć. Mogłaby tak stać bez końca, pozwalając, by widok rozmywał wszystkie myśli.

– *Alanya, już czas* – usłyszała głos w swoich myślach, jakby echo słów dawno wypowiedzianych przez ojca.

Nie знаła swojej matki. Wiedziała tylko tyle, że zmarła przy porodzie. Za każdym razem, gdy próbowała o nią pytać, ojciec zbywał ją półsłówkami. Z biegiem lat ta niewiedza



stawiała się coraz cięższym kamieniem na sercu, a pragnienie poznania prawdy nigdy nie gasło. Chciała wiedzieć, kim naprawdę jest – nie tylko w połowie.

Dziś jednak musiała odsunąć to pragnienie w cień, by zmierzyć się z tym, co czekało na nią tej nocy.

Ojciec przez całe życie przygotowywał ją do tej chwili. Uczył, szkolił, wymagał od niej więcej niż ktokolwiek inny. Wiedział, że pewnego dnia przejmie tron. Ale teraz go nie było. Została sama – młoda królowa bez magii, która powinna wspierać jej koronę.

Solvendor był jej domem. Królestwo Światła i Powietrza, pełne dobrobytu i harmonii, od wieków podziwiane przez inne ziemie. Ojciec rządził nim jako potężny król i jednocześnie władca kochany przez lud. Władał magią Powietrza i Światła tak silną, że powalała na kolana nawet największych wojowników. Powtarzał, że moc Alanyi obudzi się w odpowiednim momencie... lecz po pewnym czasie jego również dopadły wątpliwości.

– Już czas – powtórzyła sama do siebie, prostując się.

W milczeniu ruszyła w stronę zamku. Ostatnie promienie słońca malowały niebo purpurą i złotem, a wraz z nimi całe wzgórze. Z oddali zamek wyglądał jak światło uwięzione w kamieniu – piękny, dumny, a zarazem odwieczny strażnik swojego ludu. Wieże Solvendoru lśniły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca niczym smukłe latarnie wznoszące się ku niebu. Ich kamienie, utkane z białego piaskowca, odbijały złote światło tak intensywnie, że całe wzgórze zdawało się płonąć – nie ogniem, lecz czystym blaskiem. Złote ornamenty oplatające mury i wieże tworzyły misterną sieć wzorów przypominających skrzydła, a gdy wiatr szarpał powietrzem,



zdawało się, że ornamenty naprawdę drgają i poruszają się w rytmie żywiołu, któremu królestwo zawdzięczało swoją potęgę.

Dla mieszkańców Solvendoru zamek był sercem – symbolem ich królestwa i jego najjaśniejszą latarnią. Ale dla Alanyi był także ciężarem. Przypominał jej o ojcu, o dziedzictwie, któremu miała sprostać, i o mocy, której przez tyle lat nie potrafiła w sobie obudzić.

Zatrzymała się przy murze i oparła czoło o chłodny kamień, jakby mógł obudzić uspioną w niej moc. Nic się nie stało – poza tym, że poczuła odrobinę spokoju, którego teraz tak bardzo potrzebowała.

W jej komnacie czekała już Wiktoria, najbliższa przyjaciółka i powierniczka wszystkich sekretów. Była od Alanyi odrobinę niższa, drobna, a jednocześnie pełna gracji – jakby każdy jej krok tańczył w rytmie niewidzialnej melodii. Jasnomiodowe oczy Wiktorii błyszczały ciepłem i potrafiły rozproszyc nawet najgłębszy cień, a półśmiejch, który niemal zawsze błąkał się na jej ustach, sprawiał wrażenie, że skrywa żart zrozumiały tylko dla niej. Łagodna w gestach i głosie miała w sobie siłę serca, której nie powstydziliby się żaden wojownik. Alanya często powtarzała, że są jak ogień i woda – tak różne, a jednak idealnie się dopełniające. Wystarczył im jeden gest, jedno spojrzenie, by zrozumieć wszystko.

– Gdzie ty byłaś? Umierałam z niepokoju! – zawołała Wiktoria, przyciskając ją do siebie z siłą przewyższającą jej drobne dłonie.

Alanya przytuliła ją mocno, bo bardzo tego potrzebowała. Kochała ją najmocniej na świecie, jak prawdziwą siostrę, której nigdy nie miała.



– No już, muszę się szykować. – Jej uśmiech stał się cieplejszy, a napięcie w ramionach trochę ustąpiło.

Spojrzała na suknię przygotowaną na ten wieczór i przez chwilę wstrzymała oddech. Była zjawiskowa – dzieło sztuki stworzone przez najlepszych mistrzów krawiectwa, w którym każdy detal był dopracowany. Złoto-srebrna, w barwach królestwa, lśniła subtelnym blaskiem. Dekolt w kształcie łagodnego łuku wyszywany był setkami drobnych diamentów, które drżały przy każdym ruchu i lśniły jak tysiące iskerek, niczym gwiazdy na nocnym niebie. Talia, opięta delikatnym, misternie haftowanym pasem, podkreślała smukłą sylwetkę Alanyi, nadając jej zarówno subtelności, jak i siły. Dół sukni składał się z niezliczonych warstw miękkiego tiulu i cięższej satyny, które układały się w kaskady fal przypominające morskie bałwany w świetle księżyca. Każda warstwa była zdobiona cienkimi nićmi srebra i złota, tworzącymi wzory liści i gwiazd, które wydawały się tańczyć, gdy tylko materiał poruszył się od powiewu powietrza.

Prawdziwym ukoronowaniem stroju był jednak długi złoty tren, ciągnący się za suknią niczym promień słońca wkraczający do sali tronowej. Obszyty ręcznie drobnymi kryształami i perłami oświeślał każdy kamień posadzki, po którym się przesuwiał. To nie była tylko suknia koronacyjna – to była zbroja królowej, symbol jedności i wieczności rodu, w którym spletały się Światło i Cień, złoto i srebro, dziedzictwo i przyszłość. Alanya rozpuściła kruczoczarne włosy, pozwalając im opaść na ramiona. Diamentowy diadem błyszczał w nich, ale już wkrótce miał zostać zastąpiony koroną utkaną z wiatru i słońca – symbolu i dumy królestwa.

– Wyglądasz przepięknie – wyszeptała Wiktoria.



Kiedy Alanya szła korytarzem prowadzącym do sali koronacyjnej, kamienne mury jaśniały od blasku światła spływającego za nią. Służba zatrzymywała się w pół ruchu, odkładając na bok to, co miała w dłoniach. Na ich twarzach były ciepło i duma.

Niektórzy znali ją od dziecka. Stara kucharka, która kiedyś potajemnie podsuwała jej słodkie bułki, skinęła głową z uśmiechem, a w jej oczach błyszczały łzy wzruszenia.

Alanya odwzajemniała te spojrzenia lekkim skinieniem. Nie szła już tylko dla siebie. Szła w imieniu wszystkich, którzy od lat wierzyli, że ten dzień nadejdzie.

Sala tronowa była wypełniona po brzegi. Marmurowe kolumny lśniły w świetle setek złotych lampionów unoszących się magicznie pod sufitem. Dywan w kolorze jasnego złota prowadził od głównych drzwi aż do podwyższenia, na którym stał tron Solvendoru – wysoki, zdobiony motywami skrzydeł i promieni słońca.

Delegacje trzech królestw ustawiły się po bokach, a mieszkańcy Solvendoru wypełniali galerię nad nimi. W ciszy słychać było stukot obcasów Alanyi, odbijający się echem od ścian.

Ceremoniarz odczytał przysięgę królewską, a Alanya powtarzała słowa, czując, jak z każdym zdaniem odpowiedzialność zaciska się na jej barkach coraz mocniej. Gdy kapłan uniósł koronę – złotą obręcz oplecioną żywymi pasmami światła – w sali zapanowała absolutna cisza. Metal dotknął jej włosów i nagle poczuła chłód, a potem ciepło rozchodzące się od skroni po całym ciele.

Tłum wybuchł oklaskami i okrzykami, a muzyka orkiestry uderzyła w potężne, podniosłe tony.



Po oficjalnej części wszyscy przenieśli się do sali balowej – serca pałacu, miejsca, w którym historia splatała się z przepychem. Kryształowe żyrandole zawieszone wysoko pod sklepieniem rzucały kaskady światła na marmurową podłogę, tak gładką, że odbijała blask niczym tafla jeziora. Każdy kryształ, misternie oszlifowany, drżał w rytm muzyki orkiestry, rozsiwając po sali tysiące migotliwych refleksów.

Ściany zdobione były złotymi ornamentami i freskami przedstawiającymi dawne zwycięstwa i legendy rodu królewskiego. W blasku świec zatopionych w srebrnych kandelabrach marmurowe kolumny zdawały się ożywać, a złote zdobienia mieniły się ciepłym światłem, nadając wnętrzu baśniowy urok.

Przy ścianach ustawiono długie stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami, na których pyszniły się misternie ułożone bukiety kwiatów – lilii i róż w kolorach królestwa przeplatanych złotymi wstęgami. Zapach świeżych płatków mieszał się z wonią drogich win i potraw, unosząc się nad tłumem.

Okna, wysokie i łukowato sklepione, ozdobione były ciężkimi zasłonami ze złotego aksamitu, które odsłonięto, by wpuścić do środka światło księżyca i gwiazd. Blask nocnego nieba przeplatał się z migotaniem żyrandoli, sprawiając wrażenie, że sala nie miała granic, jakby otwierała się na nieskończoność.

Pokój zaczął tętnić rozmowami i barwami strojów przybyłych gości. Po prawej stronie stała delegacja z królestwa Ognia i Wojny – Drakhaimu. Wysokie, imponujące sylwetki w czerwono-czarnych szatach z tkanin tak ciężkich, że przypominały zbroje. Ich muskularne ramiona napinały materiał, a przy nadgarstkach co jakiś czas błyskały języki ognia. Ich spojrzenia były twarde, nieufne, a w powietrzu wokół czuć było zapach dymu i gorącego metalu.



Po lewej stronie znajdowali się wysłannicy królestwa Ziemi i Cienia – Narthoru. Wysocy, smukli, ubrani w czarne płaszcze i tuniki zdobione matowym srebrem. Stali nieruchomo, wyprostowani jak posągi, a wokół nich gęstniały cienie, poruszające się jak żywe. Ich oczy – stalowe i przenikliwe – zdawały się widzieć więcej, niż powinny.

Pośrodku sali, w turkusowo-niebieskich szatach, stała delegacja królestwa Wody i Iluzji – Vireldy. Ich stroje były lżejsze, lejące, połyskujące jak tafla wody. Każdy ruch ich ciał był płynny, pełen gracji, jakby w ich żyłach płynęło morze. W ich spojrzeniach było coś hipnotyzującego, a uśmiechy, choć uprzejme, kryły w sobie nutę wyrachowania.

I wtedy jej wzrok zatrzymał się na nim. Kaen, książę królestwa Vireldy, wyglądał tak, jakby należał do innego świata – wyprostowany, otoczony aurą chłodnej dumy. Jego oczy koloru wzburzonego morza odnalazły ją w tłumie z taką pewnością, jakby od dawna wiedział, że właśnie na nią będzie patrzył. Blond włosy związał w kucyk, a szerokie ramiona i pewna siebie postawa sprawiały, że trudno było go nie zauważyć. Patrzył na nią w sposób, który sprawił, że przez chwilę zapomniiała oddychać.

Kaen był obecny w jej życiu, odkąd tylko sięgała pamięcią. Syn króla Vireldy, dumny i zawsze pewny siebie, pojawiał się w Solvendorze wraz z ojcem niczym słońce wnoszące blask w jej dzieciństwo. Ona zaś – wiecznie zadziorna dziewczynka z rozwianymi włosami i dłońmi podrapanymi od wspinaczki na mury – biegła za nim krok w krok, jakby sam jego cień był dla niej największym skarbem. Był starszy o kilka lat i wydawał się wtedy niedostępny, niemal z innego świata. W jej oczach urastał do rangi bohatera legend – szybkiego,



odważnego, z uśmiechem, który sprawiał, że jej serce rwało się do biegu.

Nigdy nie zapomniała dnia, w którym pojawił się na placu treningowym. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, uśmiechając się lekko, gdy obserwował jej zmagania z ciężkim mieczem. Dla niej każde uniesienie klingi było walką o dumę, dla niego zapewne tylko zabawnym widowiskiem. Kiedy jednak po udanym ataku na sparingpartnera odwróciła się ku niemu, oczekując pochwały, rzucił jej jedynie żartobliwe: „Jeszcze trochę, mała księżniczko, a pokonasz nawet mnie”. On zapomniał o tych słowach jeszcze tego samego dnia, ona jednak zatrzymała je w sercu jak obietnicę, którą chciała spełnić.

Lata mijały, a ona dorastała w cieniu jego obecności. Jako nastolatka przeżywała każdą jego wizytę niczym święto, licząc dni do chwili, gdy znów przekroczy bramy zamku. Ale Kaen nie był już wtedy chłopcem z jej wspomnień. Z każdym rokiem odkrywał łatwość, z jaką potrafił zdobywać spojrzenia i westchnienia dam dworu – i chętnie z tego korzystał. Złapała się na tym, że każdy jego powrót z ogrodów z kolejną piękną towarzyszką pod rękę wbijał w nią kolec, którego nie potrafiła się pozbyć. Płakała wtedy całe noce, ucząc się, czym jest pierwsza gorycz zazdrości i rozczarowania.

Potem zniknął na kilka lat. Listy od niego były krótkie i rzadkie, aż w końcu przestały przychodzić. Pogodziła się z myślą, że wyrósł z ich przyjaźni i że dla księcia Vireldy stała się tylko wspomnieniem dziewczynki z zamku Solvendoru.

Kiedy do niej podszedł, serce Alanyi zabiło gwałtownie, zanim rozum zdążył podsunąć ostrzeżenie. Był inny, dojrzalszy. Mężczyzna, a nie chłopiec, którego знаła. W jego spojrzeniu czaiła się pewność, od której runęły w niej wszystkie



dawne bariery. Jego uśmiech – ten sam, niebezpiecznie znajomy – rozbroił ją w jednej chwili.

– Zatańczysz ze mną? – zapytał tonem tak zwyczajnym, że mogłaby go zlekceważyć. Coś w jego spojrzeniu jednak sprawiło, że serce zabiło jej mocniej. Brzmiało to jak proste pytanie, ale niosło coś więcej, czego nie potrafiła nazwać.

Powolna muzyka płynęła miękko po sali, jakby chciała przykryć szeptem wszystko wokół. Kaen pewnie ujął jej dłoń, a jednocześnie tak ostrożnie, jakby badał, czy mu na to pozwoli. Przyciągnął ją bliżej, a znajomy zapach soli i morza otoczył ją delikatnie. Był zbyt znajomy, by mogła go zignorować.

– Pamiętasz jeszcze kroki? – szepnął, a w jego spojrzeniu zatańczył błysk, który obudził w niej dawne wspomnienia.

– Trudno zapomnieć... zwłaszcza że wtedy nie miałeś litości dla moich nóg – odpowiedziała, starając się brzmieć lekko. Ale uśmiech, który mu posłała, zdradzał więcej, niż chciała.

Ich ruchy zsynchronizowały się natychmiast, jakby ciało pamiętało więcej niż rozum. Kaen prowadził ją zdecydowanie, ale z uwagą. Każdy gest był prośbą, nie rozkazem. Jej skóra mrowiła w miejscach, w których czuła jego dłoń, a każde spojrzenie wdzierało się głębiej niż sam taniec.

Kiedy zakręcił ją lekko, suknia rozłożyła się wokół niczym złocista fala, a jej śmiech poniósł się miękko ponad muzyką. Każdy obrót zsuwał z niej ciężar ostatnich tygodni, zostawiając jedynie lekkość i ciepło. Tak dawno ich nie czuła. To nie był taniec dyplomacji ani polityczny obowiązek – to była gra dwojga ciał, które odnalazły się na nowo.

W jego oczach dostrzegała już nie tylko wspomnienie chłopaka, który wspinał się z nią po murach i kradł owoce



z ogrodu, ale coś więcej – mężczyznę, który potrafił sprawić, że zapomniała o całym świecie.

Gdy muzyka ucichła, żadne z nich nie cofnęło się od razu. Zostali blisko, jakby potrzebowali jeszcze chwili, by odzyskać oddech. Cisza między nimi była gęsta, niosła więcej niż słowa. Dopiero wtedy spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko – nie bez troski, ale z tą świadomością, że bliskość potrafi być równie piękna, co niebezpieczna.

Czas mijał szybko, kielichy wina połyskiwały w dłoniach gości, zapach róż i dymu ze świec mieszał się w powietrzu, a orkiestra wygrywała melodie, które poruszały serca i nogi.

W pewnej chwili, gdy oparła się o chłodną marmurową kolumnę, łapiąc oddech po kolejnym tańcu, poczuła coś trudnego do nazwania. Niby nic – ledwie muśnięcie, subtelne mrowienie na karku, jakby niewidzialne spojrzenie prześlizgnęło się po jej skórze i utkwilo w niej zbyt mocno. Uniosła głowę, starając się nie zdradzić niepokoju. Rozejrzała się po sali. W tłumie widziała tylko twarze skupione na rozmowie, śmiechu i tańcu. Nic podejrzanego. Serce jednak biło jej szybciej, jakby instynkt ostrzegał przed czymś, czego oczy nie potrafiły dostrzec.

Zanim zdołała przyjrzeć się uważniej, dźwięk trąb i mocniejsze uderzenia bębnow ogłosiły kolejny taniec. Kaen pojawił się obok, uśmiechnięty i pewny siebie, jakby nic na świecie nie mogło zmącić beztroski tego wieczoru. Bez słowa ujął jej dłoń i poprowadził z powrotem na parkiet, a ona pozwoliła mu na to, choć gdzieś głęboko czuła, że nie jest już w pełni obecna.

Alanya przez resztę balu, nawet gdy śmiała się przy kolejnych obrotach, miała nieustanne wrażenie, że ktoś obserwuje ją z cienia.



Uroczystość trwała jeszcze długo, lecz w końcu Alanya zapragnęła oddechu, ciszy i samotności. Pożegnała się z Kaenem, a jego półuśmiech towarzyszył jej jeszcze, gdy mężczyzna odprowadzał ją wzrokiem.

W korytarzach pałacu panował półmrok. Lampiony rzucały złote kręgi światła na marmurowe ściany, a cienie między kolumnami zdawały się poruszać zbyt szybko, jakby ktoś – lub coś – kroczyło krok za nią.

Wiktoria czekała już w jej komnacie. Balową suknię rzuciła niedbale na krzesło, otuliła się miękkim szalem i siadła przy kominku z kubkiem parującego naparu. Na ustach miała znajomy figlarny uśmiech, ale w oczach czaiło się coś, co zdradzało więcej niż ciekawość.

– No i jak... królowo? – rzuciła lekko, unosząc brew.

Alanya parsknęła cicho, zbyt zmęczona, by siłować się na powagę.

– Jak w bajce... tylko z odrobiną polityki.

– Brzmi jak twoja codzienność. – Przyjaciółka uśmiechnęła się krzywo i podciągnęła nogi na fotel. – Ale nie udawaj, że cała noc była tak przewidywalna.

Alanya usiadła obok i zaczęła odpinać kolczyki.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Och, wiesz doskonale. – Wiktoria nachyliła się w jej stronę, a ogień zatańczył w jej oczach. – Ten taniec z Kaenem...

– To był tylko taniec. On zawsze taki był, trochę uroku, trochę pewności siebie. – Zawahała się, patrząc w błysk złotych kamieni w biżuterii.

– Hmm. – Wiktoria odchyliła się, ale spojrzenie miała wciąż uparte. – A jednak wyglądał, jakby świat się zatrzymał, kiedy miał cię w ramionach.



– Widzisz za dużo. – Królowa próbowała zabrzmieć lekko, ale w jej głosie pobrzmiwała obronna nuta.

– A ty udajesz, że nic nie widzisz. – Wiktoria uniosła kubek do ust i upiła łyk, nie odrywając od niej wzroku.

Miedzy nimi zapadła gęsta od niewypowiedzianych słów cisza. W końcu Alanya wzruszyła ramionami.

– Kaen to przeszłość. Wszyscy się zmieniliśmy.

Wiktoria pochyliła się ponownie.

– Może. Ale nie zaprzeczysz, że wciąż coś w tobie porusza.

Kobieta spojrzała na nią krótko, zbyt szybko odwracając wzrok.

– Czasami echo dawnych wspomnień brzmi głośniejsz, niż by się chciało. To wszystko.

– Jeśli tak mówisz... – Uśmiechnęła się, ale bez figlarności. Usiadła wygodniej, opatulając się szczelniej szalem. – Tylko nie każ mi udawać, że nie widzisz tego, co jest tuż przed oczami.

Trzask drewna w kominku zagłuszył ciszę, ale nie napięcie. Alanya położyła kolczyki na stoliku i zsunęła się niżej na poduszkach, czując, że w tej rozmowie każde słowo było bardziej odśłonięciem niż odpowiedzią.

Wsunęła się pod ciężką pościel. Ciepło ognia i obecność Wiktorii powinny przynieść ukojenie, a jednak spokój nie nadchodził. Myśli krążyły wokół spojrzenia Kaena, wokół niewidzialnego ciężaru, który czuła na sobie jeszcze na sali balowej. Przymknęła powieki, zmuszając się do głębokiego i miarowego oddechu.

Trzask drewna w kominku zaczął brzmieć inaczej – jak echo odległych kroków. Światło tańczyło po ścianach, aż w końcu zgasło w jej świadomości. A potem przyszyły obrazy, które nie były już jawą...



Najpierw było morze – wzburzone, czarne jak atrament, rozbijające się falami o ostre skały. Stała na urwisku, a wiatr był tak silny, że czuła, jak wbija się w jej skórę tysiącem drobnych igieł. W dole, pomiędzy falami, majaczyła ciemna szczelina w ziemi, z której wydobywała się czerwona poświata.

Na krawędzi skalnego mostu, prowadzącego wprost nad otchłań, stał mężczyzna. Widziała go tylko od tyłu. Czarne włosy, rozwiane przez wiatr, połyskiwały w blasku czerwieni. Ramiona miał szerokie, sylwetkę wyprostowaną i nieruchomą, jakby sam był częścią tego miejsca.

Na jego szyi, tuż nad kołnierzem czarnego płaszcza, rysował się tatuaż – misterny znak przypominający splecione w krąg skrzydła i ostrza. Wydawał się żywy, jakby delikatnie pulsował światłem, gdy wiatr unosił materiał.

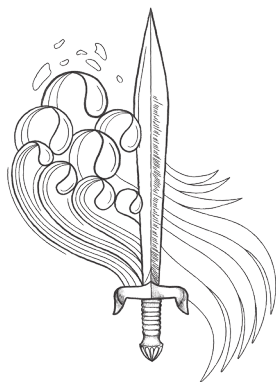
Chciała podejść bliżej, ale każdy krok był jak walka z niewidzialną siłą. Morze zawyło, a z otchłani poniżej zaczęły wynurzać się mroczne kształty – zbyt wielkie, by były ludzkie, z oczami żarzącymi się niczym węgle.

Mężczyzna nie odwrócił się, lecz uniósł dłoń w bok, jakby zapraszał ją, by podążyła za nim. Nie powiedział ani słowa, a jednak w jej głowie zabrzmiał głos – głęboki, obcy, przywodzący na myśl echo w pustych komnatach.

– Alanya.

Świat wokół niej zachwiał się, a ziemia pod stopami rozpadła. Spadała w ciemność, a ostatnim obrazem, jaki widziała, były czarne włosy rozwiane przez wiatr i pulsujący, srebrzysty blask tatuażu.

Obudziła się gwałtownie, z sercem dudniącym jak bębny na polu bitwy.



ROZDZIAŁ II

Alanya wstała, zanim w zamku zabrzmiał pierwszy dzwon. Światło wdzierało się do komnaty wąskimi smugami przez szczeliny ciężkich zasłon. Powietrze było chłodne, niosło ze sobą słoną wilgoć od morza, a gdzieś w oddali słysząc było głuchy, jednostajny szum fal uderzających o klify.

Przez moment leżała nieruchomo, próbując odgonić resztki snu. Ale obrazy wciąż wracały – sylwetka mężczyzny odwróconego do niej plecami, ciemne włosy, tatuaż wijący się po karku niczym srebrna fala. Nie widziała jego twarzy, a jednak czuła, że znała go od dawna. To uczucie było jak drzazga – drobna, ale nieustannie przypominająca o swoim istnieniu.



– Wstałaś już? – rozległ się znajomy głos, a zza kotary wychyliła się rudowłosa głowa Wiktorii. Jej oczy błyszczały rozbawieniem. – Myślałam, że będę cię musiała wyciągać z łóżka siłą. Wyglądałaś, jakbyś śniła o czymś... całkiem przyjemnym.

Alanya przewróciła oczami, lecz kącik jej ust drgnął w uśmiechu.

– Nic wartego opowiadania.

– A jednak się uśmiechasz. – Dziewczyna usiadła na brzegu łóżka i podciągnęła nogi pod siebie, jak robiła zawsze, gdy chciała zostać dłużej. – No, dalej. Zdradź chociaż odrobinę.

– Wik... – westchnęła Alanya, owijając się mocniej kocem. – Mam dzisiaj pierwsze zebranie rady. Serio uważasz, że powinnam zaczynać dzień od analizowania snów?

– Dokładnie dlatego. – Przyjaciółka nachyliła się bliżej. – Bo to twój pierwszy dzień. A ja chcę wiedzieć, z czym naprawdę wstajesz do tej nowej roli.

– Z nerwami w żołądku i bólem głowy – odparła, chowając twarz w dłoniach.

– No widzisz? – Wiktoria klepnęła ją lekko w kolano. – Już jesteśmy bliżej prawdy.

Królowa roześmiała się cicho i potrząsnęła głową.

– Ty nigdy się nie poddasz, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Uniosła brew, a jej uśmiech złagodniał. – Ktoś musi pamiętać, że pod tą całą koroną jesteś wciąż sobą.

Alanya zsunęła stopy na chłodną posadzkę i podeszła do okna. Odchyliła ciężkie zasłony, a światło zalało komnatę. Zamek górował nad miastem, a dalej rozciągało się spokojne, błękitne morze, którego tafla lśniła od porannych promieni



słońca. Na dziedzińcu poniżej żołnierze ćwiczyli w skupieniu, a strażnicy zmieniali warty.

– Wyglądają tak spokojnie – powiedziała cicho. – A ja czuję, jakby we mnie wszystko się kotłowało.

Wiktoria podeszła bliżej i stanęła obok tak, że ich ramiona musnęły się lekko.

– Może na tym właśnie polega różnica? Oni nie muszą wiedzieć, co się dzieje w środku. Wystarczy, że zobaczą cię taką, jaką znają, silną.

– A jeśli nie jestem wystarczająco silna? – Spuściła wzrok, opierając dłonie o parapet.

Wiktoria milczała chwilę, a potem wsunęła rękę pod jej dłoń i ścisnęła mocno, jakby chciała przekazać jej własną pewność.

– To dobrze, że masz mnie. Bo nie musisz wszystkiego dźwigać sama.

Królowa odwróciła głowę i spojrzała na nią krótko z wdzięcznością, której nie potrafiła ubrać w słowa. I to wystarczyło. Wiktoria tylko się uśmiechnęła, jakby obie rozumiały więcej, niż ktokolwiek mógłby wypowiedzieć na głos.

Słowa przyjaciółki zabrzmiały jak coś więcej niż zwykłe pocieszenie. Były przypomnieniem, że ta sala nie będzie miejscem jedynie politycznych układów, lecz próbą jej samej. Próbą charakteru, odwagi i tego, czy naprawdę jest gotowa udźwignąć dziedzictwo.

Gdy usiadły przy stoliku, by napić się kawy, Wiktoria zaczęła opowiadać o porannych wieściach z miasta.

– Handlarze twierdzą, że w nocy na północnych drogach widziano dziwne cienie – powiedziała, zniżając głos niemal do szeptu. – Nikt nie potrafi rozpoznać, czy to ludzie, czy... coś innego. – Zawiesiła głos, a między nimi zapadła krótka



cisza, w której trzask ognia w kominku zabrzmiał niepokojąco głośno. Obie wiedziały, co kryło się w niedopowiedzeniu.

– Thalyss... – wymknęło się Alanyi. Nazwa brzmiała jak coś zakazanego.

– Ludzie o tym szepczą, choć jeszcze nikt nie ma odwagi mówić głośno. Ale jedno jest pewne: to będzie główny temat dzisiejszej rady.

Królowa ścisnęła dłonie tak mocno, że pobieleły jej knykcie. Nie pierwszy raz słyszała o wyrwie, ale za każdym razem brzmiało to tak, jakby cienka zasłona między jawą a koszmarem stawiała się coraz bardziej przejrzysta.

Wiktoria pochyliła się bliżej, a jej oddech owiał skórę przyjaciółki.

– Pamiętaj, Alanyo, w radzie będą tacy, którzy uznają to za znak, i tacy, którzy będą próbowali wmówić światu, że nic się nie dzieje. Dziś zobaczysz, kto naprawdę wierzy w twoją siłę.

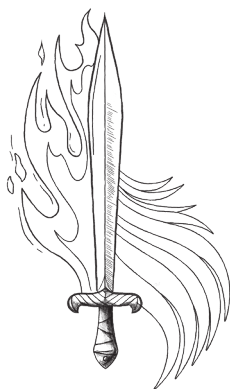
Dziewczyna skinęła głową, ale serce ścisnęło się jej jeszcze mocniej. Wiedziała, że za ciężkimi drzwiami pomieszczenia rady nie czekały jedynie polityczne sojusze i spory. Czekala prawda o tym, jak blisko świat znalazł się od przepaści. Odstawiła filiżankę i sięgnęła po cienką złotą obręcz leżącą na stole. Wiktoria wyjęła koronę z jej rąk i założyła ją na głowę swej pani wprawnym ruchem.

– No. Teraz wyglądasz tak, jak powinna wyglądać królowa Solvendoru, gdy idzie ustawiać do pionu swoich doradców.

Alanya parsknęła śmiechem.

– Ustawiać do pionu? Tak będziemy teraz nazywać obrady?

– Oczywiście. – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. – Bowiesz, wszyscy będą próbować mówić ci, jak masz rządzić. A ty im przypomnisz, że w tym zamku jest tylko jeden tron, i już jest zajęty.



ROZDZIAŁ III

Droga do sali rady wydawała się dłuższa niż zwykle. Kroki odbijały się echem w kamiennych korytarzach. Poczula ciężar koronacyjnej biżuterii, a w sercu cichy bunt, że wołałaby być teraz gdziekolwiek indziej. W głowie Alanyi wciąż rozbrzmiewał głos ze snu – niski, obcy, wypowiadający jej imię tak, jakby należało do kogoś innego.

Próbowała to zepchnąć. To tylko sen. Nic więcej. Tysiące razy śniła o morzu, o burzach i o ciemności. Obraz czarnych włosów rozwianych przez wiatr i pulsującego tatuażu jednak nie chciał się rozmyć. Zbyt wyraźny. Zbyt prawdziwy.

Jej oddech przyspieszył, kiedy pomyślała o wyrwie. O tym, co widziano na północnych drogach. Czy to było



ostrzeżenie? Znak, że Thalyss zbliża się szybciej, niż ktokolwiek przypuszcza?

– To tylko sen – wyszeptała pod nosem, jakby chciała przekonać samą siebie.

Poprawiła koronę i wyprostowała ramiona. Nie mogła teraz pozwolić, by strach zjadł ją od środka. Rada czekała, a królowa Solvendoru nie miała prawa wyglądać na zagubioną.

Gdy ciężkie drzwi sali otworzyły się przed nią, Alanya odsunęła od siebie obrazy urwiska i czerwonej otchłani. Wsunęła się w świat Światła, głosów i spojrzeń, które czekały już tylko na nią.

Przy długim stole siedział kapitan Arend – szerokie ramiona, twarz poorana bliznami, spojrzenie twarde jak skała. Obok niego stary doradca polityczny, lord Harlin, ubrany w granatowy płaszcz obszyty złotą nicią. Zarządcy regionów Solvendoru rozkładali na stole pergaminy, mapy i notatki. Ich twarze były napięte i zmęczone. Ale to nie oni przyciągnęli uwagę Alanyi.

Na końcu stołu, nieco w cieniu, siedział mężczyzna, którego jeszcze nie знаła. Ciemne włosy związane w ciasny kucyk, szaty proste, bez zbędnych ozdób, a jednak spojrzenie zimne i przenikliwe. Lord Veynar – nowo mianowany doradca do spraw zewnętrznych. Plotki mówiły, że przybył z południa, gdzie przez lata służył jako wysłannik jej ojca.

Centralne miejsce sali zajmowała ogromna mapa rozłożona na ciężkim stole. Znaczniki wbite w pergamin połyskiwały w świetle dnia, ale nie były tylko kolorami – każdy czerwony znacznik oznaczał ludzi, którzy już nie wrócą.

Lord Harlin podniósł się, by powitać królową.

– Wasza wysokość. – Skłonił się nisko. – Dziękujemy, że dołączyłaś.



– To mój obowiązek – odpowiedziała Alanya, siadając na czele stołu. – Zaczniemy.

Kapitan Arend położył przed nią pergaminy, ale jego głos zabrzmiał mocniej, niż planował.

– Zwiadowcy znaleźli kolejną grupę bestii w dolinie. Pięć padło, dwie zniknęły w górach. Ale straciliśmy ludzi. – Zacisnął pięść na krawędzi stołu. – Trzech nie żyje. Pięciu zostało poważnie rannych.

Na sali zapadła cisza. Harlin pochylił głowę, ktoś inny szepnął przekleństwo.

– To już nie są tylko pograniczne ataki – wtrącił jeden z zarządców. – Wioski pustoszeją. Kupcy odmawiają podróży. Ludzie boją się wychodzić z domów po zmroku.

– A my mamy zbyt mało straży, by obsadzić wszystkie trakty – dodał Harlin, stukając nerwowo w mapę.

– To вина Drakhaimu – wybuchł Arend. – Gdyby dali nam posiłki...

– Drakhaim nigdy nie da posiłków! – przerwał mu inny lord, uderzając dłonią w stół tak mocno, że pergaminy podskoczyły. – Dla nich każda nasza rana to okazja, by wejść głębiej w nasze ziemie!

Szmer głosów przeszedł w kłótnię. Alanya uniosła dłoń, by przywrócić ciszę, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległ się spokojny głos.

– Zawsze to samo – powiedział lord Veynar, prostując się na swoim miejscu. Mówił cicho, ale tak, że usłyszał go każdy. – Strach, skargi, żądania.

Wszyscy odwrócili się ku niemu. Veynar nie patrzył na nikogo poza królową.



– Za czasów twojego ojca takie rozmowy nie były potrzebne. Granice stały. Ludzie spali spokojnie.

Kilku starszych zarządców kiwnęło głowami. Alanya poczuła, jak napina się jej kark.

– Za czasów mojego ojca Thalyss nie sięgał tak daleko – odparła chłodno. – Teraz świat się zmienia.

– Świat zawsze się zmienia. – Veynar uniósł brew, a cień uśmiechu pojawił się na jego ustach. – Różnica w tym, kto potrafi się dostosować, a kto udaje, że wszystko da się zatrzymać patrolami i modlitwami.

Arend zerwał się z miejsca.

– To zniewaga! Ludzie walczą, giną, a ty mówisz o udawaniu?

– Spokojnie, kapitanie. – Veynar uniósł dłoń w łagodzącym geście. – Nikt nie kwestionuje ich odwagi. Ale odwaga nie powstrzyma Cieni.

Na sali rozległy się podniesione głosy, ktoś krzyknął, że nie pozwoli oczerniać straży. Harlin uderzył laską w podłogę, prosząc o spokój.

Alanya ścisnęła poręcz krzesła. Czowała, że traci kontrolę nad naradą, że emocje narastają jak burza.

– Dość! – powiedziała wreszcie stanowczo.

Nastała cisza. Veynar nachylił się lekko do przodu, a jego głos zabrzmiał niemal łagodnie.

– Wszyscy tu chcemy jednego: ocalić Solvendorf. Ale nie oszukujmy się. Jeśli wyrwa naprawdę rośnie, nie wystarczy łątać rany. Potrzebujemy tarczy, a nie miecza.

– Tarczy? – powtórzył Harlin, marszcząc brwi.

– Mur z magii. – Veynar powiedział to wolno, jakby smakował każde słowo. – Sieć zaklęć, która odetnie Thalyss od



naszego świata. To jedyny sposób, by powstrzymać to, co próbuje się przedrzeć.

Szmer przebiegł po sali. Niektórzy skinęli głowami z nadzieją, inni wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

Alanya poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Mur z magii. Słowa uderzyły w nią jak ostrze – wiedziała, że to dokładnie to, czego sama nie potrafiła zrobić. Ojciec potrafił. Ona nie. Ale Veynar nie mógł tego wiedzieć...

– Wasza wysokość – odezwał się Harlin niepewnie. – Czy to możliwe?

Alanya prostowała się powoli, jakby sama siła woli miała utrzymać jej głos w równowadze.

– Jeśli magia ma być naszą tarczą, nie możemy zwlekać. Kapłanki rozpoczną przygotowania do wzmocnienia osłon.

Kilku lordów westchnęło z ulgą. Arend skinął z uznaniem. Tylko Veynar się nie poruszył. Patrzył na nią długo, a w jego oczach błyszczało coś, co mogło być podziwem albo... ostrzeżeniem. Potem uśmiechnął się lekko, zbyt lekko.

– Jak sobie życzysz, wasza wysokość. Niech twoje decyzje będą Światłem dla Solvendoru.

Brzmiało to jak błogosławieństwo, ale w sali nikt nie miał pewności, czy nie jest to przekleństwo.

Reszta rady przystała na rozkaz królowej, zapisując kolejne działania na pergaminach. Alanya jednak wiedziała, że nie zyskała w ten sposób siły, a jedynie odroczyła chwilę, w której ktoś odkryje prawdę o jej pustce.



Wiktoria czekała na nią przy drzwiach.

– Wyglądasz, jakbyś wróciła z bitwy – rzuciła cicho, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Bo właśnie wróciłam – mruknęła w odpowiedzi, zsuwając dłonie z klamki.

– Tylko że bez miecza i zbroi. – Uniosła brew i uśmiechnęła się lekko. – Choć sądząc po twojej minie, to wcale nie było łatwe starcie.

Królowa westchnęła, masując skronie.

– Bitwy przynajmniej kończą się wtedy, gdy wróg padnie. A tu? Wróg to każdy cień na mapie. I każde słowo, które utkwi w sali.

– Dlatego właśnie powinnaś zaczerpnąć świeżego powietrza, zanim ktoś przyjdzie z kolejnym raportem. – Wiktoria uchyliła drzwi, gotowa wyciągnąć ją na dziedziniec.

– Potrzebuję chwilę pobyć sama. – Pokręciła głową, ale głos miała łagodny.

Przyjaciółka zmrużyła oczy, jakby chciała zaprotestować, ale po chwili tylko skinęła głową. Wiedziała, że naciskanie nie miało sensu. Podsunęła jej jednak szal, który trzymała przewieszony przez ramię.

– Tylko nie chowaj się za długo. – Jej ton był lekki, ale spojrzenie mówiło coś więcej.

Alanya przyjęła szal bez słowa. Ich dłonie musnęły się na moment, a to krótkie dotknięcie wystarczyło, by napięcie dnia trochę zelżało.

– Wiem – odpowiedziała cicho.



Została sama. W jej sercu odezwało się znajome, bolesne uczucie – pustka.

Ojciec zawsze mówił, że magia Solvendoru to nie dar, lecz odpowiedzialność. Że król jest jej kanałem, a jego ciało i dusza stanowią bramę dla mocy. Pamiętała, jak jako dziecko widziała go stojącego w świątyni: oczy zamknięte, dłonie uniesione, a wokół niego światło, które drżało niczym żywe.

Próbowała. Nieraz. Modliła się w tych samych murach, szeptała te same słowa, powtarzała gesty aż do bólu mięśni i chrypki w gardle. Ale nic nigdy nie odpowiedziało. Cisza. Pustka. Jakby magia odwróciła się od niej plecami.

Słowa Veynara odbijały się echem w jej głowie. „Twój ojciec potrafił powściągnąć Chaos. Ty nie rozumiesz”.

Zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę. Nie mógł wiedzieć, nie miał prawa wiedzieć. A jednak... czy jego zdziwienie nie zdradzało, że czegoś od niej oczekiwał?

Alanya uniosła wzrok na migotliwe płomienie świec. Po jej plecach przeszedł dreszcz. Jeśli wyrwa w Thalyss rzeczywiście się powiększa, nadejdzie dzień, w którym już nie wystarczy wysłać kapłanki. Dzień, w którym spojrzenia wszystkich będą zwrócone tylko na nią. A ona wciąż nie wiedziała, czy będzie miała czym odpowiedzieć.

Zamyślona przemierzała chłodne korytarze zamku, jej kroki odbijały się echem od kamiennych ścian. Myśli krążyły wokół wyrwy w Thalyss, słów Veynara i pustki, która wciąż rozbrzmiewała w jej wnętrzu jak drwiące echo.

I wtedy go zobaczyła. Kaen stał przy jednym z wysokich okien, oparty o chłodny kamień kolumny, jakby czas i całe zamieszanie tego dnia nie miały do niego dostępu. Światło



z witraży rozlało się po jego twarzy barwną mozaiką, przez chwilę czyniąc go kimś obcym, niemal nierzeczywistym.

Obok niego stały dwie damy dworu. Jedna z nich, wysoka brunetka, śmiała się głośno, odgarniając włosy w sposób zbyt wyćwiczony, by udawał spontaniczność. To była gra, którą Kaen zawsze potrafił prowadzić – spojrzeniem, półuśmiechem, zawieszonym gestem. I nigdy nie brakowało mu partnerek do tej gry.

Alanya zwolniła kroku. Przez ułamek sekundy naprawdę chciała zawrócić – zniknąć we własnych komnatach, zrzucić z siebie ciężar dnia. Nie miała już siły na kolejną maskę. Ale wtedy Kaen podniósł wzrok.

Wyprostował się, a jego uśmiech – ten znajomy, ciepły, który nosiła w pamięci od dzieciństwa – ścisnął jej serce tak nagle, że musiała nabrać głębszy oddech.

– Wasza wysokość – powiedział przesadnie formalnym tonem, skłaniając się z równie przesadną gracją.

– Książę Kaen – odparła chłodno, choć kącik jej ust nieposłusznie drgnął.

Damy dworu szybko oddaliły się w przeciwną stronę, zostawiając ich samych. Kaen podszedł bliżej, a przestrzeń między nimi wypełniła się czymś cięższym od słów.

– Minęło trochę czasu od naszej ostatniej rozmowy – odezwał się.

– Owszem. Zaskoczyłeś mnie swoim przedłużonym pobylem w Solvendorze – odpowiedziała. – Nie sądziłam, że korytarze tego zamku są aż tak kuszące.

Uśmiechnął się lekko.

– Kuszące? Nie. Ale nie mogłem odejść, nie upewniwszy się, że radzisz sobie w nowej roli.



– Czyżbyś martwił się o mnie? – spytała, unosząc brew.

– Raczej ciekawiło mnie, jak bardzo się zmieniłaś. – Jego spojrzenie przesunęło się po niej powoli, zbyt uważnie.

– I? – zapytała cicho, świadoma, że prowokuje odpowiedź, której nie chce usłyszeć.

– Powiedzmy, że jesteś... mniej przewidywalna. – W jego głosie zabrzmiała nuta rozbawienia, ale i coś ostrzejszego.

Przez chwilę nie przypominali już dawnych dzieci, które biegały po ogrodach i kradły jabłka. Teraz każde słowo było jak ruch w grze, której zasady zmieniły się nie tak dawno temu.

– A ty – powiedziała po chwili – wciąż opierasz się o kolumny i pozwalasz, by damy dworu śmiały się z byle powodu. Widzę, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Czasem wygodniej jest pozwolić ludziom myśleć, że grają w moją grę – odparł. – Ale ty nigdy nie dawałaś się oszukać, prawda?

Ton jego głosu sprawił, że serce Alanyi zabiło mocniej. Czy to było wyzwanie? A może ostrzeżenie?

Słowa zawisły między nimi, przywołując wspomnienia dawnych lat. Przy nim nabierały ostrości, jakby czas cofnął się o lata. W jego oczach jednak kryło się coś nowego. Cień, który nie pasował do tamtego chłopca.

Po kilku minutach rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Alanya obejrzała się przez ramię akurat w chwili, gdy Kaen zatrzymał się przy brunetce i pochylił do niej, mówiąc coś półgłosem. Jej śmiech znów odbił się echem po korytarzu.

Królowa odwróciła wzrok. Tym razem uśmiech Kaena zostawił po sobie uklucie, które trudno było zignorować.



Ruszyła dalej, skupiając wzrok na kamiennej posadzce, jakby w jej chłodzie mogła skryć się odpowiedź na pytanie, którego wolala sobie nie zadawać.

Zmierzch nadchodził powoli, topiąc mury zamku w odcieniach miedzi i purpury. Z okien jej komnaty widać było, jak miasto poniżej zapala pierwsze pochodnie. Światło tańczyło w nich niespokojnie, jakby nawet ogień czuł dzisiejsze napięcie.

Komnata pogrzażyła się w półmroku. Płomienie w kominie przygasaly, rzucając na ściany tańczące cienie, które podążały za każdym ruchem Alanyi. Siedziała przy stole, przed sobą miała mapę Solvendoru – tę samą, nad którą pochylała się w sali rady. Znaczniki, pergaminy i notatki były wciąż rozłożone jak ślady po bitwie, choć walka toczyła się dziś tylko słowami.

Przymknęła oczy, pozwalając, by obrazy dnia powróciły. Twarz Arenda – twarda i pełna lojalności. Harlin, który jak zwykle próbował zachować spokój i rozwagę. Veynar... Jego chłodne spojrzenie i słowa wbijały się w nią jak ostrza. Każde wspomnienie o jej ojcu było ciosem w pustkę, której nie potrafiła wypełnić. Magia królestwa milczała w niej, jakby na przekór całemu światu.

Westchnęła ciężko, odchylając się na krześle. Ataki się nasilały. Cienie rozlewały po mapie coraz głębszym śladem, a ona miała coraz mniej odpowiedzi. Zamiast nich pozostawało tylko milczenie – jej własne i mocy, która nie chciała się w niej obudzić.

Kiedy myśli zaczęły grzęznąć w bezradności, przed oczami stanął jej uśmiech Kaena. Zbyt lekki jak na to, co niosła na



barkach, zbyt niebezpieczny, bo przypominał jej dziewczynkę, którą kiedyś była. Dziewczynkę, która wierzyła, że wystarczy jeden jego uśmiech, by rozpędzić mrok.

Zacisnęła powieki, próbując odgonić to wspomnienie. Nie mogła pozwolić sobie na takie rozproszenia. Lecz ciepło jego spojrzenia wracało uparcie, jakby wbrew jej woli.

Otworzyła oczy i wpatrzyła się w mapę. Czerwone znacz-
niki wciąż były tam, gdzie zostawiła je rada.

– Jutro – szepnęła do siebie. – Jutro znajdę sposób. Muszę.

Ale kiedy zgasła świece i wsunęła się do łóżka, jej myśli były rozdarte. Jedna część wciąż widziała krwawą linię wyrwy, druga szelmowski uśmiech Kaena, który choćby na chwilę pozwolił jej zapomnieć.

Sen przyszedł szybko, ale nie był łagodny.

Znów go zobaczyła – mężczyznę o szerokich ramionach – stojącego tyłem. Czarne włosy opadały mu na kark, a tuż nad kołnierzem koszuli widniał ten sam tatuaż: splecione w krąg skrzydła i ostrza. Światło wokół nich było dziwne, szare, bez śladu słońca ani gwiazd.

*Chciała podejść, dotknąć tego miejsca na jego szyi, zapytać, kim jest. Ale zanim zrobiła krok, coś szarpnęło ją do tyłu, a prze-
strzeń wokół zapadła się w ciemność.*

Ocknęła się z mocno bijącym sercem, dłońmi zaciskającymi się na pościeli. I choć wiedziała, że to był tylko sen, wciąż czuła na palcach delikatne ciepło od jego skóry.



ROZDZIAŁ IV

A lanya siedziała przy stole, dłońmi owinęła filiżankę gorącej herbaty, jakby ciepło miało odgonić to, co zobaczyła nocą. Obok, na srebrnej paterze, stygły bułeczki z miodem, ale nie miała apetytu nawet na nie.

Czuła niepokój we wnętrzu. Dwa razy śniła o NIM. Nie był to zwykły sen, nie mógł być. Zbyt wyraźny, zbyt realny. Cień z Thalyss? Omen? A może coś w niej samej?

Ścisnęła porcelanę mocniej, aż poczuła gorąco na skórze. Nie mogła pozwolić, by te obrazy zawładnęły jej dniem. Nie teraz, gdy każdy krok, każde spojrzenie dworu było próbą jej siły.

Gdzieś pod powierzchnią myśli jednak tliło się pytanie, którego bała się wypowiedzieć na głos: co jeśli to nie tylko sen?



– Ty mnie w ogóle nie słyszysz, prawda? – Głos Wiktorii dobiegł do niej jak przez mgłę.

Alanya mrugnęła, orientując się, że zapomniała o jej obecności i w ogóle jej nie słuchała. Wiktoria siedziała naprzeciwko, opierając brodę na dłoni, i patrzyła na nią pytająco.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

Przyjaciółka pochyliła się lekko nad stołem, szukając w jej twarzy czegoś, czego ta nie chciała nazwać.

– Ty mi naprawdę nic nie powiesz? – zapytała miękko, bez wyrzutu, ale z tą znajomą przenikliwością, przed którą trudno było się ukryć.

Królowa spuściła wzrok i uśmiechnęła się krótko.

– Powiedz mi lepiej, co widziałas rano. Chcę to usłyszeć.

Przez moment Wiktoria wyglądała, jakby miała ochotę dopytać, ale tylko westchnęła i kiwnęła głową. Opowiadała o tym, jak kapłanki Zakonu Słońca od świtu stały na murach, wzmacniając bariery. Jej głos miał w sobie lekkość, ale i nutę podziwu.

– Wyglądało to... magicznie – mówiła, a jej dłonie tańczyły w powietrzu, jakby chciała narysować światło, które widziała. – Całe mury lśniły złotem, a przez chwilę wydawało się, że nawet powietrze oddycha razem z nimi.

Alanya uśmiechnęła się, lecz myślami wciąż była w nocnym śnie. Czuła na palcach ciepło, które nie chciało zniknąć.

– Cieszę się, że się udało – odparła cicho. – Ale to tylko bariery. Nie powstrzymają wszystkiego.

Na moment zapadła cisza. Wiktoria wpatrywała się w nią uważnie, jakby czekała, aż ta powie coś więcej. Jej spojrzenie nie było natarczywe, ale pełne troski, której smak Alanya знаła aż za dobrze.



– Wik... – Podniosła wzrok, próbując się uśmiechnąć. – Kontynuuj, proszę. Chcę słyszeć, jak to wyglądało twoimi oczami.

Wiktoria zawahała się, marszcząc lekko brwi, jakby chciała zapytać, co naprawdę kryje się pod tym uśmiechem. Ale zamiast tego westchnęła i kiwnęła głową.

– Dobrze. – Na jej twarzy pojawił się cieplejszy uśmiech. – Wiesz, przez chwilę myślałam, że kapłanki same nie wierzą, że zdołają to zrobić. Ale kiedy światło zaczęło spływać po murach... dostrzegłam w ich oczach coś, czego dawno nie było. Nadzieję.

Alanya słuchała jej, tym razem uważnie. Wiktoria zawsze miała dar, by prostymi słowami odgonić ciemne myśli. By przypomnieć jej, że w świecie oprócz strachu są jeszcze rzeczy, dla których warto trwać.

– To właśnie chciałam ci powiedzieć – dodała Wiktoria ciszzej. – Cokolwiek się dzieje, nie jesteś w tym sama. Choćbyś uparcie twierdziła inaczej.

Alanya skinęła głową, a w kącikach jej ust pojawił się cień prawdziwego uśmiechu.

Zjadła niewielki kęs, wstając od stołu.

– Muszę zejść do biblioteki.

Wiktoria uniosła brew.

– O tej porze?

– To może być jedyny moment w ciągu dnia, gdy znajdę tam spokój.

Droga do biblioteki wiodła przez boczne korytarze zamku. Ściany zdobiły gobeliny przedstawiające historię Solvendoru – wielkie bitwy, zawarte sojusze, dawne koronacje. Przechodziła obok nich, dotykając palcami tkanin, czując pod opuszkami fakturę nici.



Wysokie, podwójne drzwi biblioteki ustąpiły pod jej dłońmi z głuchym skrzypnięciem. Wnętrze przywitało ją chłodem, zapachem starych ksiąg i pergaminu. Wysokie regały, ustawione w równych rzędach, sięgały aż po sklepienie, a między nimi unosiły się drobinki kurzu tańczące w snopach światła wpadającego przez wąskie okna.

Pod stopami skrzypnęły deski. Alanya ruszyła między regały, kierując się w stronę działu kronik rodowych. Przesuwała palcami po grzbietach tomów – niektóre były popękane, inne gładkie i wypolerowane od częstego używania.

Wyciągnęła pierwszą księgę opisującą wydarzenia z roku jej narodzin. Otworzyła ją ostrożnie. Początek wyglądał obiecująco – spisy bitew, narodzin, ślubów. Jednak przy dacie trzynastego miesiąca dziewiątego – pustka. Strona była wyrwana.

Zmarszczyła brwi, odłożyła tom i sięgnęła po następny. Znow to samo.

Kolejne godziny mijały w ciszy, przerywane jedynie szelestem przewracanych stron. W każdym z woluminów brakowało fragmentów z tego samego okresu. Alanya czuła, jak frustracja powoli zaciska jej gardło.

Na moment przysiadła przy dużym dębowym stole i zamknęła oczy. Przypomniała sobie, jak jako dziecko biegała między tymi regałami, chowając się przed ojcem. Wtedy biblioteka była miejscem zabawy i odkrywania cudów, a nie labiryntem, w którym ktoś celowo ukrywał prawdę.

Kiedy wróciła do poszukiwań, w głębi sali dostrzegła starszego bibliotekarza w brązowej szacie. Mężczyzna układał stos ksiąg, mamrocząc coś pod nosem. Zatrzymała się przy nim.

– Szukam kronik z roku tysiąc dwieście siedemdziesiątego dziewiątego, szczególnie jesiennych zapisów – powiedziała.



Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

– Wiele z tych ksiąg... zaginęło. Niektóre już bardzo dawno temu.

– Zaginęło czy zostały usunięte? – zapytała ostrzej, niż zamierzała.

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Lepiej nie pytać, wasza wysokość.

– Nakazuję ci odpowiedzieć – rzuciła stanowczo.

Mężczyzna otworzył usta, lecz zamiast słów pojawiła się cisza. Zaciął się, jakby język odmówił mu posłuszeństwa. Odetchnął gwałtownie, potem znów próbował, ale wydobyły się tylko pojedyncze sylaby, urwane jak strzępy zdań. Jego twarz pobladła, a dłoń odruchowo powędrowała do gardła, jakby coś ścisnęło go od środka.

Alanya poczuła dreszcz. To nie był zwykły strach. On naprawdę nie mógł mówić.

– Wystarczy – powiedziała chłodno, cofając się o krok.

Bibliotekarz opuścił głowę, unikając jej spojrzenia. Milczenie, które zostało, było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

Alanya odeszła, wiedząc, że nie dowie się niczego więcej. Pewność, że ktoś – lub coś – czuwa nad tym milczeniem, towarzyszyła jej jednak jeszcze długo.

Jej wzrok zatrzymał się na tomie innym niż wszystkie. Grafitowa okładka, w rogu wytłoczony znak splecionych skrzydeł i ostrzy. Serce Alanyi przyspieszyło. Symbol wyglądał dokładnie jak ten, który widziała w snach.

Wyciągnęła dłoń, czując, jak powietrze wokół niej gęstnieje. Ale tuż przed dotknięciem książki się zawahała. Za plecami usłyszała kroki innych dworzan, szept bibliotekarza, cichy



szelest przewracanych stron. Sala nagle wydawała się pełna oczu, które mogły zauważyć, że sięga po coś, po co nie powinna. Ścisnęła palce w pięść i cofnęła rękę. Nie teraz. Nie tutaj. Pochyliła się jeszcze, udając, że wertykuje zupełnie inny wolumin, a jednocześnie wbiła w pamięć miejsce: czwarta księga od lewej, dolna półka, obok kroniki bitew Solvendoru.

Poczuła, że jeśli weźmie ją teraz, sprowadzi na siebie spojrzeń, których nie udźwignie. A ona potrzebowała tej wiedzy. Ale na swoich warunkach. Wróci po nią, gdy zapadnie zmrok.

Na chwilę przymknęła oczy. Powróciło do niej wspomnienie bibliotekarza. Jego twarz pobladła, dłonie zadrżały i pojawiły się urywane sylaby, których nie potrafił do końca wypowiedzieć. Nie bał się mówić – on nie mógł. Jakby ktoś trzymał go za gardło.

Alanya otworzyła oczy, a spojrzenie mimowolnie powędrowało ku grafitowej księdze. A jeśli ta sama siła, która uciśzyła bibliotekarza, strzeże również tego tomu?

Dreszcz przebiegł jej po karku. Jeszcze nigdy zwykła półka pełna pergaminów nie wydawała się tak niebezpieczna. I nigdy nie była bardziej pewna, że musi tu wrócić.

Zamkowe korytarze były dziś niemal puste. Stukot jej kroków mieszał się z trzaskiem pochodni, a myśli Alanyi krążyły wokół grafitowego tomu i symbolu ze snu. Tak bardzo pograżyła się we własnych rozważaniach, że wzięła zakręt zbyt szybko. Uderzenie było mocne. Chwilę później ktoś chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, zanim zdołała cofnąć krok.

– Uważaj, królowo – rozbrzmiał niski głos Kaena.

Znalazła się tak blisko, że mogła dostrzec światła z pochodni, które odbijały się w jego oczach. W nozdrza uderzył znajomy zapach soli i chłodu morza, niezmienny od lat, a jednak obcy w tych korytarzach.



– Może to ty powinieneś uważać – odparła, prostując się, by nie dać po sobie poznać, jak mocno bije jej serce. – Stoisz zawsze tam, gdzie nie powinieneś.

Uśmiechnął się, ale bez lekkości, do której kiedyś przywykła.

– A jednak zawsze mnie znajdujesz.

– Albo to ty znajdujesz mnie – powiedziała ciszej, niż chciała.

Kaen nie odsunął się. Palce na jej ramieniu zacisnęły się mocniej, a jego wzrok nie przypominał już dawnych żartów, lecz obietnicę, której nie rozumiała.

– Nadal masz ten błysk w oczach – powiedział powoli. – Ten sam jak wtedy, gdy próbowałaś udowodnić mi, że potrafisz zwyciężać bez litości.

– I zwyciężałam – odpowiedziała bez drżenia, choć jego bliskość paliła jak ogień.

– Zawsze. – Nachylił się nieznacznie, a jego oddech musnął jej skroń. – A ja nigdy nie miałem pewności, czy chcesz mnie pokonać, czy tylko sprawdzić, jak daleko pozwolę ci zajść.

Alanya zmrużyła oczy.

– A może to ty chciałeś, żebym sprawdzała granice?

Cisza między nimi zgęstniała. Kaen uśmiechnął się lekko.

– Wiesz, co jest najgorsze w zwycięstwach? – zapytał nagle, a jego głos brzmiał prawie intymnie. – Że czasem zdobywasz coś, czego nigdy nie miałeś prawa dotknąć.

Jej serce zabiło mocniej, ale nie pozwoliła, by to dostrzegł.

– To zależy, Kaenie, kto decyduje o tym prawie.

Ich spojrzenia spotkały się jak dwa płomienie, które zamiast się połączyć, walczą o przestrzeń. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że powietrze w korytarzu zadrżało.



Dopiero wtedy puścił jej ramiona i odsunął się o krok, ale nadal nie zerwał kontaktu wzrokowego.

– Uważaj, Alanyo. Nawet w pustych korytarzach nie jesteś sama.

Minął ją wolnym krokiem, a jego ramię musnęło jej dłoń. Ten ledwie wyczuwalny dotyk był bardziej elektryzujący niż najśmielsze słowa. Echo jego kroków odbijało się od ścian jeszcze długo po tym, gdy zniknął za zakrętem, a ona miała wrażenie, że zostawił po sobie nie cień, lecz ranę, której nie da się łatwo zagoić. Została w ciszy, wsłuchując się w echo jego kroków. Jeszcze przez chwilę czuła w powietrzu jego obecność, jakby mury zamku zatrzymały dla niej tę ulotną chwilę. Dopiero gdy korytarz zatonął w pustce, ruszyła dalej, próbując wmówić sobie, że to spotkanie nic nie znaczyło.

Dla odwrócenia myśli zeszła do kuchni. Było już późne popołudnie, a gwar tego miejsca kontrastował z ciszą korytarzy. Pachniało ciepłym chlebem, przyprawami i owocami. Gdy pojawiła się w drzwiach, kucharki zamarły na moment, a potem wróciły do swoich zajęć – jakby jej obecność była naturalna, swojska. Jedna z nich podała jej kawałek ulubionego ciasta z miodem i orzechami.

Alanya usiadła na ławie przy ścianie i przez chwilę jadła w spokoju, wsłuchując się w odgłosy stukających noży, bulgoczących garnków i ciche śmiechy służby. Było w tym coś prostego, zwyczajnego, a jednak dającego poczucie bezpieczeństwa. Na krótką chwilę mogła zapomnieć o radach, wojnach i ciężarze korony – mogła być po prostu dziewczyną, która przepadała za słodkim ciastem.



Zmrok opadł na zamek, a światło słoneczne w korytarzach przygasło, ustępując miejsca pojedynczym pochodniom i blaskowi świec. Cisza była niemal nienaturalna – brak gwaru, stukotu kroków i szelestu sukien sprawiał, że każdy odgłos wydawał się zbyt głośny.

Alanya szła powoli, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Welon cieni kładł się na jej twarzy, a cienkie pantofle tłumiły kroki na chłodnych kamiennych płytach. Wiedziała, że straż nocna rzadko zapuszcza się w skrzydło, w którym mieściła się królewska biblioteka.

Drzwi były zamknięte, ale ustąpiły pod lekkim pchnięciem – zamek nie był przekrecony. Wewnątrz panował półmrok, rozświetlany jedynie przez mdłe światło księżyca wpadające przez wysokie, wąskie okna. Cienie regałów układały się w labirynt, a powietrze było ciężkie od zapachu starego pergaminu i wosku świec.

Ruszyła między półki, idąc dokładnie tą samą ścieżką co rano. Gdzieś głęboko w bibliotece coś cicho stuknęło – jakby któryś z tomów wysunął się pod własnym ciężarem. Zatrzymała się, nasłuchując, ale po chwili cisza znów spoiła pomieszczenie.

Kiedy dotarła do regału w rogu, jej serce przyspieszyło. Tam, gdzie jeszcze dziś rano leżał opasły tom z symbolem splecionych skrzydeł i ostrzy na okładce, była teraz tylko pusta przestrzeń.

Dotknęła półki, jakby chciała się upewnić, że to, co widzi, jest prawdą. Jej palce przesunęły się po drobnych rysach drewna. W miejscu, gdzie wcześniej spoczywała księga, nie było kurzu.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Miała wrażenie, że ktoś stoi tuż za nią. Odwróciła się gwałtownie – puste rzędy



regałów patrzyły na nią z mroczną obojętnością. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Serce jednak biło jej zbyt szybko, jakby ciało wiedziało coś, czego umysł jeszcze nie pojmował.

Przyspieszyła kroku w stronę drzwi. Zanim je zamknęła, przez moment była pewna, że dostrzegła cień przesuwający się między półkami. Nie czekała, by sprawdzić.

Korytarz wydawał się chłodniejszy niż wcześniej. Szła szybko, nie oglądając się za siebie, choć czuła, że ktoś śledzi każdy jej ruch.

Dopiero gdy zatrasnęła drzwi własnej komnaty i opadła plecami na chłodny kamień, pozwoliła sobie na oddech. Strach mieszał się z frustracją – po nieudanych poszukiwaniach i spotkaniu z Kaenem miała wrażenie, że dzień kończy się porażką na każdym froncie.

W jej myślach wciąż pulsował obraz księgi i znak, który zdobił jej okładkę.

Alanya obudziła się bardzo wcześnie. Złote światło przeciskało się przez wysokie okna, ale nie rozpraszało ciężaru, który wciąż ciążył jej na piersi.

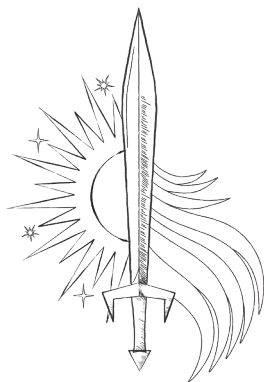
Siedziała przy stole z filiżanką herbaty stygnącą w dłoniach. Nie czuła ani smaku, ani zapachu. Wciąż miała przed oczami pustą półkę i odcisnięty w kurzu kształt księgi, która powinna tam być.

Przypomniła sobie też bibliotekarza, którego słowa urwały się w pół zdania, jakby ktoś zakneblował go od środka. Czy to mogło się jakoś łączyć? Czy wszystko było tylko złudzeniem, grą zmęczonego umysłu, karmionego nocnymi koszmarami?



Unosząc filiżankę, dostrzegła, że jej dłoń lekko drży. Była królową. Miała przed sobą dzień pełen decyzji, ludzi, którzy oczekiwali od niej siły. Na jej biurku leżał stos kart i pergaminów wymagających jej uwagi. Lecz w ciszy poranka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś – lub coś – wyprzedza każdy jej krok.

Zerknęła na drzwi, jakby spodziewała się, że zaraz się poruszą. Ale pozostały zamknięte. Światło wślizgiwało się coraz wyżej po ścianach, a ona nie wiedziała, czy nowy dzień przynosi bezpieczeństwo, czy tylko kolejną odsłonę gry, w którą została wciągnięta.



ROZDZIAŁ V

O d kilku tygodni nad Solvendorem panował spokój. Nie było więcej ataków, a opowieści o potworach wyłaniających się z wyrwy powoli stawały się echem nieprzyjemnego wspomnienia. Kapłanki Zakonu Słońca wzmocniły bariery wokół granic, a wojska zostały rozstawione tak, by żaden intruz nie zbliżył się do murów. Dni płynęły w rytmie codziennych obowiązków, raportów i krótkich chwil wytchnienia.

Alanya nauczyła się wykorzystywać ten spokój – spotkania z radą były mniej burzliwe, a napięcie na twarzach doradców ustąpiło miejsca zmęczeniu, które nieco rozluźniało atmosferę. Jednak ona sama nie potrafiła w pełni odpocząć. Spokój był złudny, a ona czuła, że coś, co kryło się w cieniu, dopiero



czekało na swój moment. Od chwili koronacji miała też dużo więcej królewskich obowiązków. Jej ojciec nigdy nie przejawiał entuzjazmu do spraw urzędowych, więc zostawił jej też sporo pracy w uporządkowaniu dokumentacji.

W tym czasie Kaen wciąż pozostawał na dworze. Oficjalnie w roli gościa i przedstawiciela Vireldy, nieoficjalnie jako element politycznej gry, mający zacieśnić więzi między królestwami. Z początku spotykali się rzadko, wymieniając jedynie uprzejme słowa w sali tronowej czy na dziedzińcu. Jednak z biegiem dni ich drogi krzyżowały się coraz częściej.

Na korytarzach zamku potrafił pojawić się w najmniej spodziewanym momencie – czasem wychodząc z bocznej komnaty, innym razem opierając się nonszalancko o filar, jakby czekał właśnie na nią. Ich rozmowy były krótkie, ale pełne podtekstów. Czasem wystarczyło jedno spojrzenie, by w powietrzu zawisło niewypowiedziane „więcej”.

Alanya, mimo że znała go od dziecka, odkrywała w nim coś nowego. Już nie był jedynie chłopcem, który kiedyś drażnił się z nią na placu ćwiczebnym i uciekał, gdy zaczynała wygrywać. Teraz był mężczyzną – pewnym siebie, z ironicznym uśmiechem i spojrzeniem, które zdawało się przenikać głębiej, niż powinna mu na to pozwolić.

Jednak ten spokój w ich rozmowach miał swoją ciemniejszą stronę. Kaen lubił towarzystwo kobiet i nie krył się z tym, że przyjmuje ich względy. Czasem Alanya widziała go, jak rozmawia z jedną z dam dworu, a jego dłoń spoczywa na jej talii z tą samą pewnością, z jaką kiedyś podtrzymał ją, gdy niemal na niego wpadła. Nie powinna zwracać na to uwagi, a jednak każdy taki obrazek wbijał się pod skórę, zostawiając ślad w postaci irytującego ukłucia gdzieś w środku.



Ich przypadkowe spotkania stawały się coraz bardziej dwuznaczne. Raz, mijając się w wąskim przejściu, musnęli się ramionami tak, że zatrzymała się na moment, czując, jak jej oddech przyspiesza. Innym razem jego spojrzenie zsunęło się z jej oczu na usta, zatrzymując tam na ułamek sekundy za długo.

Nie było w tym słów, ale była gra – niebezpieczna, bo rozgrywana na granicy, której oboje na razie nie chcieli przekroczyć.

Tego popołudnia wyszła na dziedziniec, by zaczerpnąć powietrza. Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając refleksy na kamienne mury i tarcze stojących w szeregu żołnierzy. Na placu ćwiczebnym Kaen trenował z kilkoma wojownikami z jej straży. Ruchy miał szybkie, precyzyjne, a każde uderzenie miecza o tarczę niosło się echem po dziedzińcu.

Zatrzymała się w cieniu kolumny, przyglądając mu się z daleka. Wiedział, że jest obserwowany – widziała, jak kącik jego ust unosi się w półuśmiechu, gdy bez trudu rozbrajał kolejnego przeciwnika.

Po skończonym ćwiczeniu podszedł do stojącej nieopodal ławy, zdjął skórzaną rękawicę i sięgnął po bukłak z wodą. Pot spływał po jego szyi, a koszula była rozpięta na tyle, by odsłonić fragment umięśnionej piersi.

– Dobrze się bawisz, podglądając mnie z ukrycia? – zapytał, nawet nie patrząc w jej stronę, ale doskonale wiedząc, gdzie stoi.

– Obserwowałam żołnierzy – odparła chłodno, choć ton jej zabrzmiał mniej pewnie, niż chciała.

Ruszył w jej stronę powolnym, swobodnym krokiem.

– I jak wypadłem w porównaniu z twoimi ludźmi?



– Nie jestem pewna, czy mam ochotę ci to mówić. –
Uniosła podbródek, próbując odebrać mu przewagę.

Zatrzymał się tuż przed nią, na tyle blisko, że poczuła zapach skóry, stali i czegoś, co zawsze kojarzyło jej się tylko z nim. Jego cień przesunął się po jej twarzy, a spojrzenie zatrzymało się na ustach.

– Boisz się, że powiesz za dużo? – zapytał cicho, a jego oddech musnął jej policzek.

– Nie boję się ciebie – odpowiedziała, choć serce biło jej szybciej.

– Może powinnaś.

Przez chwilę stała w miejscu sparaliżowana mieszanką irytacji i czegoś, co paliło pod skórą. Zamiast się cofnąć, uniosła wzrok ku jego twarzy. Ostre rysy, cień zarostu, spojrzenie, które trzymało ją w miejscu silniej niż ramiona. Oddychał spokojnie, a jednak każde jego westchnienie zdawało się mieszać z jej własnym, tworząc duszną, elektryczną ciszę między nimi.

Choć wiedziała, że nie powinna, pozwoliła sobie na więcej. Na krótką, zdradliwą słabość. Jej spojrzenie opadło niżej, ku jego ustom. Wąskie, pewne siebie, wygięte w ten lekko szelmowski uśmiech, który знаła od lat, ale teraz zobaczyła w nich coś więcej. Obietnicę. Pokusę. Ułamek sekundy wystarczył, by poczuła, jak jej serce przyspiesza jeszcze bardziej, a myśli rwą się w chaosie. Gdy wróciła spojrzeniem do jego oczu, miała wrażenie, że wiedział.

To ona odwróciła się pierwsza, czując na karku jego wzrok, gdy odchodziła. Nie usłyszała za sobą kroków, ale miała wrażenie, że jeśli się obejrzy, zobaczy ten sam uśmiech, który śnił jej się już zbyt wiele razy.



Szła korytarzem, aż dotarła do swoich komnat. Tam zdarła z ramion ciężki płaszcz i westchnęła głęboko, jakby chciała zrzucić z siebie cały ciężar tego spotkania. Zanim jednak zmrok całkiem spowił zamek, zajrzała jeszcze do izby tkackiej, gdzie młode dziewczyny plotły gobelin przedstawiający herb Solvendoru. Przystanęła na moment, patrząc, jak ich dłonie szybko i sprawnie przesuwają się po nici.

Jedna z tkaczek spieszyła się, widząc ją, i opuściła głowę, ale Alanya uśmiechnęła się ciepło i dotknęła materiału.

– Znakomicie wam idzie. – Proste słowa, a sprawiły, że dziewczyna się rozpromieniła. Reszta zerknęła po sobie z dumą.

Potem wróciła do komnaty, nalała sobie kubek ziołowego naparu, jak zawsze wieczorami. Ciepło napoju i znajomy aromat mięty i rumianku pozwoliły jej choć przez chwilę poczuć, że jest nie tylko królową, ale i zwykłą kobietą.

Kolejne dni mijały szybciej, niż się spodziewała. Miasto przygotowywało się do Święta Słońca – jednego z najważniejszych wydarzeń w Solvendorze. Co roku hucznie obchodzone, miało być okazją, by pokazać potęgę i bogactwo królestwa, ale też zmanifestować jedność wobec mieszkańców i delegacji z innych ziem.

Ulice stolicy tonęły w złotych i srebrnoszarych tkaninach rozwieszonych między dachami, a na placach wznoszono stragany z przyprawami, słodkościami i wyrobami rzemieślniczymi. W powietrzu mieszały się zapachy świeżo pieczonego chleba, korzennych win i płonących kadzideł.

W zamku prace trwały od świtu do późnej nocy. Służba biegła po korytarzach z tacami pełnymi dekoracyjnych



złotych lampionów i mis z egzotycznymi kwiatami, a muzycy ćwiczyli na dziedzińcu melodie, które miały wypełnić salę balową. Zgodnie z tradycją centralnym punktem obchodów miał być bal maskowy – wydarzenie, które dawało pole do intryg, ukrytych rozmów i spotkań, jakich w świetle dnia nikt nie odważyłby się przeprowadzić.

Alanya obserwowała to wszystko z mieszanką dumy i napięcia. Wiedziała, że takie okazje, choć radosne, były też momentem, gdy polityka stawiała się grą jeszcze bardziej niebezpieczną. Miała jednak przed sobą również dni wypełnione obowiązkami związanymi z koroną, która momentami stawała się dla niej ciężarem. Lord Harlin przygotował już dla niej cały zbiór dekretów do podpisu, dotyczących ziem, podatków, handlu i ochrony granic. Natomiast kapitan Arend czekał na rozkazy związane z rozlokowaniem straży podczas uroczystości.

Do zamku zaczęli zjeżdżać pierwsi goście. Wśród nich były znajome twarze zaprzyjaźnionych rodów, lecz także obcy, których nazwiska brzmiały w Solvendorze twardo. Jednak wszystkie rozmowy i szeptane plotki sprowadzały się do jednego: przyjazdu króla Narthoru i królowej Drakhaimu. Jego – bo rzadko opuszczał mroczne królestwo za górami. Jej – bo uroda i bezwzględność uczyniły z niej legendę budzącą podziw i lęk jednocześnie.

Tego dnia, gdy ich orszaki wjechały na dziedziniec, czas jakby na moment zwolnił. Strażnicy i służba zamarli, a powietrze zgęstniało.

Pierwszy z karety wysiadł Raven. Czerń, którą nosił, była prosta, a jednak nie sposób było pomylić jej z czymś zwyczajnym – każdy szew zdradzał kosztowność i precyzję. Nie



potrzebował ozdób ani klejnotów; jego obecność była cięższa niż jakiegokolwiek insygnia. Spojrzenie, które rzucił w tłum, nie było ani łaskawe, ani wrogie – było zimnym osądem. Każdy, na kim zatrzymał wzrok, odruchowo pochylał głowę, jakby nagle uświadamiał sobie własną małość.

U jego boku szła królowa Drakhaimu, Lythara. Wysoka, smukła, niosła się z gracją ostrza sunącego po wodzie. Jej suknia z ciężkiego czarnego jedwabiu ciągnęła się za nią jak struga ciemności, kontrastując z marmurem dziedzińca. Srebrne włosy lśniły w świetle dnia, a każdy jej krok był tak doskonale odmierzony, że wyglądała bardziej jak posąg ożywiony wolą bogów niż śmiertelna kobieta. Na ustach miała jedynie cień uśmiechu, ale w oczach błyszczało coś ostrego jak klinga – obietnica, że nie zna ani słabości, ani litości.

Alanya obserwowała ich z górnej galerii sali tronowej, starając się zachować wyprostowaną postawę, choć wewnątrz czuła rosnącą czujność. Nie ufała ani jednemu, ani drugiemu.

Wybór sukni na bal był jedną z nielicznych chwil, kiedy pozwalała sobie na odrobinę próżności. Przez długie godziny krawcowe przynosiły kolejne kreacje – złote, połyskujące niczym słońce na wodzie; głębokie czerwienie przywodzące na myśl płomienie; czerni gęstą jak nocne niebo. Każda była piękna, ale żadna nie wydawała się odpowiednia. Nie chciała tonąć w przepychu ani wyglądać jak posąg pozbawiony życia. Potrzebowała czegoś, co pokaże jej siłę i wdzięk, a jednocześnie pozwoli jej oddychać, tańczyć, poruszać się swobodnie – jak kobiecie, nie tylko królowej.

W końcu jej wybór padł na kreację, która najlepiej odzwierciedlała jej charakter. Satynowy materiał w odcieniu szlachetnego złota miękko opływał sylwetkę, przechodząc w dolnych



partiach w subtelne prześwity z tiulu, które falowały przy każdym ruchu jak strumienie światła. Gorset, misternie haftowany srebrną nicią, zdobiony był drobnymi kryształami. Dekolt miał kształt delikatnego łuku, nie był zuchwały, ale wystarczający, by podkreślić linię szyi i ramion.

Rękawy opadały lekko na ramiona, zostawiając przedramiona nagie, jakby sama suknia chciała przypomnieć, że piękno kryje się również w prostocie. Talia podkreślona była cienkim pasem wysadzonym perłami, a tren – choć krótki w porównaniu do koronacyjnego – układał się jak rozlany złoty cień, dyskretny, lecz majestatyczny.

Maskę kazała wykonać osobno. Cienkie złoto, lekkie niczym pióro, zdobione ornamentem przypominającym promienie słońca, oplatało oczy i skronie tak, że wyglądała jednocześnie jak kobieta i jak symbol. Nie miała być zakuta w ciężkie ozdoby – miała lśnić własnym blaskiem.

Patrząc w lustro, Alanya poczuła, że oto znalazła równowagę: bogactwo i siłę splecione z lekkością oraz wdzięk królowej, która nie potrzebuje krzyczeć, by zapanować nad gośćmi.

Wieczór balu przyszedł szybciej, niż przypuszczała. Sala balowa błyszczała tysiącami świateł, a muzyka wypełniała każdy zakamarek. Goście, skryci za maskami, miesza się w tłumie, a zapach perfum i kadzideł unosił się ciężko w powietrzu.

Nie wiedziała jeszcze, że ta noc stanie się punktem zwrotnym.

Sala balowa tonęła w złocie i srebrze, a tysiące świec i kryształowych lampionów rzucały na marmurową posadzkę mozaikę światła. Muzyka płynęła lekko, wypełniając każdy zakamarek przestrzeni, mieszała się z zapachem egzotycznych kwiatów i ciężkich perfum. Maski, cekiny, koronki i bogate



stroje tworzyły kalejdoskop barw, w którym łatwo było zniknąć, a jeszcze łatwiej podsłuchiwać, obserwować, intrygować.

Gwar rozmów uciął gwałtownie, jakby ktoś odciął dźwięk ostrzem. Ciężkie rzeźbione drzwi rozwarły się po raz kolejny i do sali wszedł orszak Narthoru i Drakhaimu.

Na jego czele szedł król Raven. Wysoki, o sylwetce napiętej jak cięciwa łuku, ubrany w głęboką czernь przesywaną srebrnymi haftami, które przywodziły na myśl chłód zimowego mrozu. Nie miał korony i nie potrzebował jej – w sposobie, w jaki się poruszał, było coś niepodważalnego, drapieżnego. Każdy krok zdawał się wymuszać przestrzeń, a spojrzenie, kryjące się za maską z czarnej stali, było ciężarem trudnym do zniesienia. Jego twarz, ostra i spokojna zarazem, wyglądała jak wyrzeźbiona przez śmierć i czas.

U jego boku kroczyła królowa Lythara. Jej czarna jedwabna suknia nie tyle otulała ciało, ile oplatała je, połyskując przy każdym ruchu niczym nocne ostrze. Tren ciągnął się za nią jak złowroga i piękna smuga dymu. Maską wysadzaną drobnymi klejnotami odbijała światło tak, że wyglądała niczym twarz zrodzona z kryształu i stali. A spojrzenie – choć skryte – miało w sobie coś z drapieżnego ptaka: chłodne, ostre, nieubłagane, szukające słabości w każdym, kto odważył się podnieść wzrok.

Wejście tej dwójki nie było tylko przybyciem gości. Było jak wtargnięcie zimy do sali pełnej światła – cisza wśród zgromadzonych świadczyła o tym, że wszyscy czuli, iż wraz z nimi przyszło coś, przed czym nie sposób uciec.

Alanya stojąca na drugim końcu sali poczuła, jak wzrok Ravena zatrzymuje się na niej. Nie było w nim uśmiechu. Nie było nawet cienia uprzejmości. Patrzył na nią długo, tak jak patrzy się na księgę, której treść chce się przeanalizować – strona



po stronie, zdanie po zdaniu. Jego spojrzenie było chłodne, oceniające, niemal nieprzyjemne w swojej intensywności.

Nie spuściła wzroku, choć poczuła, że jej serce przyspiesza. W odpowiedzi uniosła podbródek, pozwalając, by w jej postawie zabrzmiała duma. Raven ledwie skłonił głowę – gest tak formalny, że aż odczuwalnie odległy.

– Król Narthoru lubi sprawdzać teren – szepnęła Lythara, która w niewiadomy sposób znalazła się tuż przy niej. – Czasem jednak to, co widzi, okazuje się inne, niż się spodziewał.

Alanya odwróciła się powoli, mierząc królową wzrokiem.

– A czasem teren wcale nie życzy sobie być sprawdzany.

Na ustach Lythary pojawił się uśmiech pełen rozbawienia i czegoś, co przypominało wyzwanie.

– Zobaczymy, królowo – odparła, po czym odpłynęła w tłum, zostawiając za sobą smugę srebra i zapach ostrych, zimnych kwiatów.

Alanya ledwie zdążyła odetchnąć, gdy obok niej pojawił się Kaen. W masce z ciemnego złota wyglądał jak drapieżnik czający się w cieniu.

– Zaskakujesz mnie, królowo – rzucił, podając jej dłoń. – Wyglądasz tak, jakbyś chciała, żeby ta noc spłonęła szybciej niż świeca.

Unosząc brew, ujęła jego rękę.

– A ty jak zwykle wchodzisz na parkiet, jakbyś chciał, żeby wszyscy widzieli, że należy do ciebie.

Muzyka porwała ich w swój rytm. Jego dłoń spoczęła na jej plecach, zdecydowanie niżej, niż pozwalała etykieta. Ciepło tego dotyku wywołało dreszcz, którego nie mogła zignorować.

– Może chcę, żeby widzieli – szepnęła, pochylając się ku niej. – Tylko nie wiem, co bardziej kusi: twoja korona czy twoje usta.



Alanya uniosła brodę, choć czuła, jak serce przyspiesza.

– Usta, Kaenie, nie są do zdobycia jak tron.

Jego uśmiech przygaśł, a spojrzenie pociemniało.

– W takim razie będę musiał cię przekonać. – Palce zacisnęły się mocniej na jej talii, jakby mówił to nie tylko słowami.

Obróciła się w rytmie, ale zamiast dystansu, jaki dawał ruch, poczuła go jeszcze bliżej.

– Zawsze miałeś dar przekonywania – odparła cicho. – Tyłko nie zapominaj, że ja mam dar odmawiania.

Śmiech Kaena był krótki, niski.

– Nie odmawiałeś mi nigdy, gdy chodziło o walkę. Może boisz się przegrać tam, gdzie stawka jest większa?

Ich spojrzenia zatrzasnęły się na sobie. Powietrze wokół zgęstniało, a ich oddechy niemal się mieszały. Taniec był tylko pretekstem – gra toczyła się w tej jednej niewypowiedzianej chwili, w której granice mogły runąć.

Gdy muzyka ucichła, Kaen nie puścił jej od razu. Nachylił się tak blisko, że słowa dotknęły jej ust.

– Jeszcze zatańczymy, Alanyo. I wtedy nie dam ci szansy na odmowę.

Poczuła na sobie spojrzenie. Podniosła wzrok i odnalazła Ravena stojącego z kielichem w dłoni po drugiej stronie sali. Nie odwracał się, nie rozmawiał z nikim. Po prostu patrzył. Patrzył tak, jak ktoś patrzy na ruch figury na szachownicy, próbując przewidzieć kolejny krok.

Podeszła do niego Lythara. Jej ruch był płynny, niemal tańeczny, a spojrzenie głodne jego uwagi. Po kilku słowach, których Alanya nie mogła dosłyszeć, podała mu dłoń.

Król Narthoru, nie odrywając wzroku od Alanyi, uniósł kącik ust w czymś, co mogło być uśmiechem lub drwiną, i pozwolił



się poprowadzić na parkiet. Lythara zdawała się triumfować, a Alanya poczuła dziwną mieszankę irytacji i czegoś jeszcze.

Muzyka wciąż dudniła w sali, śmiechy i rozmowy mieszały się w jeden zgiełk, a jednak wszystko zdawało się nagle odległe. Blask świec i kryształów oślepiał, ciężar spojrzeń przytłaczał bardziej niż korona.

Przez chwilę pozwoliła się jeszcze porwać rytmowi, udając, że bawi ją rozmowa, że uśmiechy gości coś dla niej znaczą. Ale wewnątrz czuła już tylko zmęczenie – napięcie nie chciało ustąpić, a sala stawiała się z każdą minutą duszniejsza.

W końcu pod pretekstem oddechu wysunęła się z tłumu. Korytarze były ciche, oświetlone jedynie blaskiem świec. Echa muzyki i śmiechów powoli niknęły w oddali, gdy Alanya wchodziła do swojego skrzydła w zamku. Chciała już tylko ciszy i oddechu po wieczorze pełnym masek – zarówno tych z welurów i jedwabiu, jak i tych, które skrywały twarze i intencje.

Zatrzymała się tuż przed drzwiami komnaty, gdy z cienia wyłoniła się postawna sylwetka.

– Wasza wysokość. – Głos był głęboki, miękki, ale przesycony czymś, co brzmiało jak ironia. Raven stał oparty o filar, bez maski, z kielichem w dłoni. Światło świec igrało na srebrnych nitkach haftu jego płaszcza.

– Królu Narthoru – odpowiedziała spokojnie, choć zaskoczenie i lekkie napięcie zmusiło ją do uniesienia głowy. – Nie sądziłam, że lubisz nocne spacery po cudzym skrzydle.

– Czasem warto przejść się tam, gdzie jest coś interesującego – odparł bez cienia uśmiechu. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem dodał: – Choć... wasze dzisiejsze zainteresowanie księciem Vireldy było aż nazbyt widoczne.



Zmrużyła oczy.

– To chyba nie twoja sprawa.

– Królowa powinna pamiętać, że zbyt długie wpatrywanie się w jedną figurę może odwrócić uwagę od reszty szachownicy – rzucił sucho, prostując się. – A to nie przystoi królowej.

Słowa uderzyły w nią jak ułkanie szpili. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Raven odwrócił się i odszedł, a jego kroki cicho rozbrzmiewały w kamiennym korytarzu.

Alanya stała chwilę w bezruchu, zaciskając dłonie w pięści. Wściekłość mieszała się z irytacją i czymś, czego wołała nie nazywać. Gdy wreszcie wcisnęła klamkę i weszła do komnaty, poczuła nagły przypływ ciepła w piersi. Powietrze w pomieszczeniu zadrżało, a zasłony przy oknach na moment się poruszyły, choć nie było wiatru.

To trwało zaledwie kilka sekund, ale było tak wyraźne, że serce jej przyspieszyło. Wiedziała, że to nie był przypadek. Wiedziała, że to, co poczuła, to budząca się magia.

Nareszcie – pomyślała z nadzieją.

Tej nocy sen przyszedł szybko, ale był inny niż wszystkie.

Stała na tarasie skąpanym w blasku księżyca. Powietrze pachniało solą i kwiatami z królewskich ogrodów. Kaen był na przeciwko niej – bez maski, bez murów, które wznosiła na jawie. Patrzył na nią intensywnie, jakby każde uderzenie serca odbijało się w jego oczach.

Jego dłonie przesunęły się pewnie po jej ciele, z policzków na usta, w dół szyi, dalej – aż spoczęły na jej piersiach. Zacisnął palce lekko przez materiał sukni, a potem odważnie zaczął pieścić sutki tak, że przez cienką tkaninę poczuła drażniące, elektryczne bodźce. Ciepło rozchodziło się od piersi aż po brzuch, a ciało reagowało szybciej, niż pozwalała jej świadomość.



Alanya wygięła się w łuk, jakby sama chciała podsunąć się bliżej jego dłoni, czując, jak rozkosz narasta i rozlewa się po niej falami. Odetchnęła ciężko, a jej usta rozchyliły się bez słów, jakby noc sama wyciągała z niej wszystko, co skrywała.

Jego dłonie wciąż pieściły jej piersi, coraz odważniej, coraz mocniej, aż przez cienką tkaninę sutki stwardniały i reagowały na każdy ruch palców. Alanya drżała, wyginając ciało ku niemu, jakby chciała poddać się temu dotykowi całkowicie.

Kaen przyciągnął ją bliżej. Ich usta złączyły się w pocałunku, który nie miał w sobie nic z delikatności – był głodny, głęboki, jakby chciał posiąść ją tu i teraz. Jego język odnalazł jej, a ona odpowiedziała z zaskakującą gwałtownością, czując, jak całe ciało płonie od środka.

Dłonie mężczyzny zsunęły się niżej, obejmując linię jej bioder. Przycisnął ją do siebie tak, że nie mogła już ignorować twardości, która świadczyła o jego pragnieniu. Jej oddech stał się szybki, urywany, a dłonie same odnalazły drogę do jego karku. Wplotła je we włosy, jakby bała się, że jeśli go puści, zniknie.

Suknia falowała przy każdym jego ruchu, zsuwając się niebezpiecznie z ramion. Palce Kaena przemknęły po jej udzie, powoli, prowokacyjnie, jakby chciał sprawdzić, jak długo zdoła wytrzymać. Alanya jęknęła cicho, a jej ciało odpowiedziało instynktownie – pragnęło więcej, szybciej, mocniej.

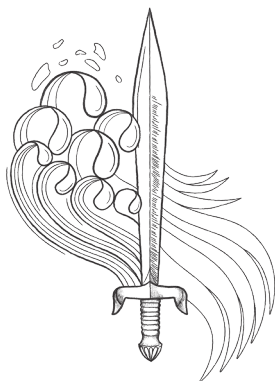
Cały świat skurczył się do ich ciał, do ciepła skóry i szaleńczego bicia serc. Noc, taras, blask księżyca – wszystko było tylko sceną dla tej jednej chwili, w której zapomniała, kim jest i jakie ciężary niesie. Była tylko kobietą w objęciach mężczyzny, którego pragnęła od dawna.

Zanim sen zdążył zabrać ją dalej, obraz rozpadł się w ciemność. Muzyka z oddali urwała się, zapach soli i kwiatów zniknął.



Cień przeciął blask księżyca. Chłód otoczył ją jak pancerz, a ciepło Kaena uleciało w jednej chwili. Gdy uniosła wzrok, zobaczyła mężczyznę stojącego w cieniu – czarne włosy, plecy zwrócone ku niej, a na karku misterny tatuaż. Stał nieruchomo, jakby czekał. Świat zawirował. Obrazy rozpadły się w mrok, zostawiając ją z uczuciem, że ktoś brutalnie przerwał coś, czego wcale nie chciała kończyć.

Obudziła się gwałtownie, z oddechem szybkim i ciałem wciąż drżącym, jakby dotyk Kaena nie był tylko złudzeniem...



ROZDZIAŁ VI

Porannek był chłodny, a słońce, wznosząc się nad murami Solvendoru, rozświetlało witraże w sali rady migotliwymi plamami złota i czerwieni. W powietrzu unosił się zapach palonego kadzidła, a ciężkie drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem, gdy ostatni z członków rady zajął swoje miejsce.

Alanya siedziała na wysokim tronie u szczytu stołu z koroną opartą lekko o czoło i dłońmi splecionymi na poręczy. Po obu jej stronach zasiedli najważniejsi doradcy Solvendoru, niżej – przedstawiciele wojska i Zakonu Słońca. Wysokie okna wpuszczały światło, które odbijało się od zbroi rycerzy stojących przy ścianach.



Po drugiej stronie stołu zasiadali goście. Raven, król Nart-horu, ubrany w czerni, bez ozdób poza srebrnym pierścieniem na palcu, sprawiał wrażenie człowieka, który nie musi podnosić głosu, by wszyscy go słuchali. U jego boku siedziała Lythara – królowa Drakhaimu. W szkarłacie i złocie, z koroną jak płomienny diadem, wyglądała jak ucieleśnienie piękna i niebezpieczeństwa. Było w niej coś, co mówiło jasno – jej sojusz z Ravenem był wyborem, nie uległością.

Nieco dalej, po lewej stronie stołu, siedział Kaen jako oficjalny przedstawiciel Vireldy. W stroju dworskim, lecz bez przesadnych zdobień, z uwagą obserwował wymianę zdań, a jego spojrzenie co jakiś czas mimowolnie zatrzymywało się na Alanyi.

– Wasza wysokość – odezwał się spokojnie Raven, ale jego głos miał w sobie ten dziwny ton, który sprawiał, że sala cichła mimo woli. Nie unosił się, a jednak każde słowo docierało w najdalsze kąty. – Wobec rosnącego zagrożenia musimy rozważyć bardziej zdecydowane rozwiązania.

– Jeśli masz na myśli rozszerzenie patroli i wzmocnienie granic, już to robimy – odpowiedziała chłodno Alanya. – Solvendor radzi sobie z obroną własnych ziem.

Raven nachylił się lekko nad stołem, jak ktoś, kto nie zdradza całej prawdy od razu.

– Radzi sobie... na razie. Ale wszyscy wiemy, że to, co wyłania się na granicy, nie zniknie, bo postawimy kilku dodatkowych strażników.

– A twoim rozwiązaniem jest...? – wtrąciła Alanya.

Jego uśmiech był szybki, prawie niewidoczny.

– Mówiłem raczej o zjednoczonym froncie pod jednolitym dowództwem – ciągnął Raven. – Jedna armia, jeden głos, jedna decyzja.



– Pod dowództwem Narthoru, rzecz jasna – prychnęła Lythara.

– To najbardziej efektywne rozwiązanie – odparł Raven, nie zaszczycając jej spojrzeniem.

– Najbardziej efektywne dla ciebie – wtrąciła Alanya, prostując się. – Dla Solvendoru oznaczałoby to oddanie suwerenności.

– Suwerenność jest bezużyteczna, gdy królestwo płonie – wtrąciła Lythara, zwracając się wprost do Alanyi. – Młode władczynie często myślą dumę z rozważą.

W sali ktoś parsknął cicho, inni wymienili spojrzenia. Raven jednak nie zwracał uwagi na szepty świadków, mówił tak, jakby rozmawiał wyłącznie z Alanya.

– Wasza wysokość – oparł łokieć o stół – nie chodzi o dumę ani o moją władzę. Chodzi o przetrwanie.

– Przetrwanie nie polega na tym, by oddać klucz do własnego domu sąsiadowi tylko dlatego, że ma większy miecz – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Raven trwał w ciszy, jakby chciał zobaczyć, czy Alanya wytrzyma jego spojrzenie. A potem kąciaki jego ust uniosły się nieznacznie – uśmiech był zbyt miękki jak na drwinę, a jednak zbyt chłodny, by przynieść ukojenie.

– Oby twój dom miał solidne mury, królowo – powiedział cicho. – Bo jeśli nie, pewnej nocy możesz się obudzić i odkryć, że one już płoną.

Lythara zaśmiała się krótko, z satysfakcją. Kaen, siedzący w milczeniu, wyprostował się lekko, ale nie zabrał głosu.

Chwilę później król Narthoru i królowa Drakhaimu wstali. Ich odejście było powolne, niemal teatralne, a jednak w tym geście kryła się siła – jakby to oni kontrolowali tempo tej gry.



Alanya siedziała nieruchomo, z dłońmi zaciśniętymi na poręczach tronu. Wiedziała, że dopiero co otworzyła nowy front i że to starcie nie zakończy się w sali rady.

Korytarze były niemal puste. Kamienne ściany chłonęły każdy dźwięk, a blask pochodni zostawiał na marmurze długie, migotliwe cienie. Alanya szła szybko, chcąc dotrzeć do komnat, nim ktoś zatrzyma ją z kolejnym pytaniem.

– Mocne słowa, królowo. – Kaen stał kilka kroków przed nią, jakby na nią czekał. – Większość w tej sali milczała z grzeczności albo z tchórzostwa – dodał, a w jego głosie mieszała się cień drwiny i coś, co brzmiało jak uznanie.

Ruszyła przed siebie, mijając go bez słowa. Usłyszała jednak kroki, które natychmiast dopasowały się do jej własnych.

– Alanya – odezwał się ciszej. Nie było w tym tonie żartu. – Widziałem dziś, jak patrzyłaś na Ravena. Tak, jakbyś próbowała nie dać po sobie poznać strachu.

– Może dlatego, że strach to słabość, na którą nie mogę sobie pozwolić – odparła, nie zatrzymując się.

Uśmiechnął się lekko, choć w jego oczach nie było rozbawienia.

– Nie. Strach to instynkt. To on każe nam się bronić, walczyć. Bez niego nie byłoby odwagi.

Szli chwilę w milczeniu. Potem Kaen zatrzymał się i zmusił ją spojrzeniem, by obróciła głowę.

– Wiesz, co mnie dziś uderzyło najbardziej? – zapytał cicho, a jego głos miał w sobie coś, co przypominało dotyk po skórze. – Patrzyłem na ciebie przy stole i przez chwilę zapomniałem, kim dla mnie byłaś. Zobaczyłem kogoś innego. Kogoś, kto potrafiłby uciszyć nawet Ravena jednym spojrzeniem.



Serce Alanyi przyspieszyło tak gwałtownie, że niemal poczuła ból w piersi. Nie chciała tego, a jednak obraz snu wdarł się w jej świadomość: taras spowity księżycowym blaskiem, jego dłonie na jej skórze, usta, które nigdy naprawdę jej nie dotknęły. Zbyt intensywne, zbyt namacalne, by mogły być tylko sennym złudzeniem. Odwróciła wzrok szybciej, niż zamierzała.

– Myślisz, że wiesz więcej, niż wiesz naprawdę.

Kaen nachylił się nieco, tak blisko, że poczuła jego oddech na skroni.

– A może tylko pamiętam cię lepiej, niż chciałabyś, żebym pamiętał.

Nie odpowiedziała. Ruszyła dalej. Kaen nie próbował jej zatrzymać, ale jego obecność ciążyła w powietrzu jeszcze dłużej po tym, jak została sama.

W korytarzu skręciła w stronę niższych komnat i zeszła po kamiennych schodach, które pachniały wilgocią i dymem. Trafiała do kuchni – serca zamku, gdzie zawsze panował gwar. Tego wieczoru jednak było spokojniej. Kilka dziewcząt lepiło jeszcze chleb na śniadanie, a stary kucharz zawiązywał worki z mąką. Na widok królowej wszyscy zamilkli, lecz Alanya uniosła rękę z uśmiechem.

– Nie przerywajcie – powiedziała cicho. – Chciałam tylko kawałek placka z jabłkami.

Kucharz skinął głową i podał jej jeszcze ciepły wypiek. Usiadła na ławie przy ogniu, pozwalając, by zapach pieczonych jabłek i cynamonu otulił ją jak wspomnienie dzieciństwa. Jadła powoli, słuchając trzasku drewna w palenisku, a służba zaczęła znów rozmawiać między sobą, prawie zapominając o jej obecności.



Kiedy skończyła, odwiedziła jeszcze zbrojownię. Broń wisiała na ścianach w równych rzędach, miecze błyszcząły w blasku pochodni. Chwyciła jeden z lżejszych, zrobiła kilka cięć w powietrzu, jak dawniej, gdy ojciec uczył ją podstaw walki. Ruchy były nieco sztywne, ale poczuła w nich znajome napięcie mięśni i świadomość, że wciąż potrafi.

Nie odłożyła jednak broni. Zrobiła krok na środek sali i zaczęła powtarzać kolejne cięcia, coraz szybsze, coraz mocniejsze. Powietrze świszczało wokół klingi, a echo uderzeń o pustkę wypełniało przestrzeń. Jej oddech przyspieszał, krople potu spływały po skroniach, ale właśnie to chciała poczuć – ciężar ciała, ból mięśni, zmęczenie, które było prostsze niż wszystkie decyzje, jakie musiała podejmować.

Kiedy miecz stał się zbyt ciężki, sięgnęła po tarczę. Unosiła ją raz po raz, jakby odpierała niewidzialne ciosy, aż drżały jej dłonie. Czowała, jak nogi robią się ociężałe, a płuca płonęły, błagając o oddech, lecz nie przestawała. Dopiero gdy ręce odmawiały posłuszeństwa, opadła plecami na chłodny kamień jednej z kolumn.

Serce biło jej jak oszalałe, kosmyki włosów przykleiły się do wilgotnej twarzy. Oddychała ciężko, ale w tym zmęczeniu było coś oczyszczającego. Tu była tylko ona i klinga, która przypominała jej, że jest żywa.

Dopiero gdy dłonie zaczęły drżeć niekontrolowanie, odłożyła miecz na stojak. Otarła czoło wierzchem dłoni, uśmiechnęła się blado sama do siebie i wyszła ze zbrojowni.

Zupełnie straciła poczucie czasu – jej komnata tonęła już w półmroku. Za ciężkimi zasłonami noc wdzierała się jedynie cienką smugą czerni, a w kominku dogasały ostatnie kawałki drewna. Alanya siedziała w fotelu przy toalecie, przesuwając



palcami po powierzchni złotego medalionu, który leżał przed nią. Myśli błądziły między tym, co wydarzyło się na radzie, a rozmową w korytarzu z Kaenem. Wciąż czuła ciepło jego spojrzenia na karku, gdy się od niej oddalał, i chłód Ravena, który przebijał się przez warstwy najcieńszych tkanin.

Zdjęła koronę, odłożyła ją ostrożnie na stolik i rozczesała długie ciemne włosy, pozwalając im opaść luźno na ramiona. Uczucie ulgi było krótkie. Za zamkniętymi powiekami wracał obraz zimnych oczu Ravena, śmiechu Lythary, dotyku dłoni Kaena na jej talii w tańcu.

W końcu położyła się do łóżka. Chłód jedwabnej pościeli otulił jej skórę, a zmęczenie zaczęło powoli rozluźniać mięśnie.

Stała w ogrodach, w których wcześniej nie była – drzewa były wyższe, ich liście mieniły się srebrnym blaskiem, a powietrze miało gęstość snu, w którym każdy ruch wydaje się wolniejszy. Gdzieś w oddali szemrała fontanna, choć jej kształt rozmywał się w mglistym świetle księżyca.

Poczuła czyjąś obecność za plecami. Nie odwracała się od razu. Delikatny powiew uniósł kosmyki jej włosów i przyniósł ze sobą zapach – ostry, chłodny, jak nocne powietrze w górach. Potem poczuła ciepło. Cień mężczyzny stanął obok niej, ale wciąż widziała go tylko kątem oka. Czarny płaszcz, szerokie ramiona i... tatuaż na szyi. Ten sam – splecione w krąg skrzydła i ostrza, pulsujące srebrnym blaskiem.

Jego głos był cichy, prawie jak szept, a jednak każde słowo rozbrzmiewało w niej, jakby wypowiedziane tuż przy uchu:

– Patrz. – Uniósł dłoń i wskazał na fontannę.

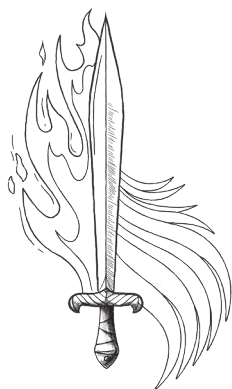
Kamień lśnił srebrzyście, a w jego podstawie, tam, gdzie strumień wody wpadał w mrok, dostrzegła niewielki symbol. Wydawał się znajomy, lecz nim zdążyła go rozpoznać, obraz się zamglił.



– Tam, gdzie woda dotyka cienia – powiedział jeszcze. – Tam znajdziesz początek.

Chciała zapytać, co to znaczy, ale mężczyzna już się oddalał, a jego sylwetka stapiała się z ciemnością. Usłyszała jedynie delikatny trzask, jakby skrzydła rozcinały powietrze.

Otworzyła oczy gwałtownie, czując, jak serce bije jej zbyt szybko. Świt jeszcze nie przyszedł, a ona leżała w półmroku, próbując uchwycić w pamięci każdy szczegół snu. Tatuaż, fontanna, symbol i to, że mimo mroku wcale nie czuła strachu.



ROZDZIAŁ VII

Słońce dopiero wspinało się ponad linię horyzontu, a wczesny poranek otulał plażę mleczną mgłą. Piasek pod stopami Alanyi był jeszcze chłodny, wilgotny od nocnej rosy, a fale łagodnie obmywały brzeg, rozlewając na nim srebrne refleksy. Przyszła tu, by oczyścić głowę po niespokojnej nocy i pozbyć się obrazu snu, który wciąż tkwił w jej pamięci jak cień.

Zatrzymała się przy dużych omszałych głazach, kiedy dostrzegła ruch w wodzie. Serce zabiło jej mocniej.

Kaen.

Wynurzał się z morskiej toni powoli, jakby wcale nie musiał się spieszyć. Woda spływała po jego ciele w cienkich strużkach,



błyskając w pierwszych promieniach słońca. Jego skóra miała złocisty odcień, a krople lśniły na niej jak rozgrzany metal. Szerokie ramiona, wyrzeźbione mięśnie brzucha, silne nogi... Każdy jego ruch był świadectwem lat treningu i mocy, która w nim drzemała.

Był nagi.

Alanya wstrzymała oddech, instynktownie cofając się za skały, jakby kryjąc się przed samą sobą. Wiedziała, że powinna odejść, że to nie jest widok, na który przystoi patrzeć królowej w świetle poranka, ale nie mogła. Wzrok sam wracał do jego sylwetki.

Kaen odgarnął mokre jasne włosy do tyłu, a potem uniósł głowę ku słońcu i przez moment wyglądał jak bóstwo, które wyszło z głębin, by wziąć w posiadanie świat. Alanya poczuła dziwne ciepło rozchodzące się w jej wnętrzu, ciepło, które nie miało nic wspólnego z porannym słońcem.

Dopiero gdy ruszył w stronę linii brzegowej, otrząsnęła się, odwracając gwałtownie.

Szła z powrotem do zamku, szybciej, niż planowała, starając się wyrzucić z pamięci ten obraz. Na próżno.

Wchodząc po schodach, minęła dwie dziewczyny niosące kosze z pościelą. Jedna z nich, młodsza, potknęła się i kilka lnianych prześcieradeł rozsypało się na kamiennej posadzce.

– O nie, przepraszam! – jęknęła, klękając, by je pozbierać.

Alanya nachyliła się i podniosła jedno z płócien, a następnie podała je dziewczynie.

– Uważaj, bo te schody bywają zdradliwe – powiedziała łagodnie.

Dziewczyna aż zamarła, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Wysokość... nie powinna... – zaczęła niepewnie.



Alanya uśmiechnęła się lekko.

– Powinnam robić to samo, co każdy. Nie chcę, żebyście traktowali mnie jak kogoś, kto nie zna ciężaru pracy.

Starsza z dziewczyn skinęła głową, a w jej spojrzeniu pojawiło się coś między wdzięcznością a podziwem.

– Zawsze taka byłaś – wymknęło jej się cicho. – Nawet gdy biegałaś po zamku jako dziecko.

Alanya zatrzymała się na moment. To proste zdanie sprawiło, że serce ścisnęło jej się dziwnym ciepłem. Kiwnęła głową i odsunęła się, zostawiając je z ich zadaniem, ale przez chwilę miała wrażenie, że ta drobna wymiana słów znaczyła więcej niż niejedna rada czy uczta.

Królowa zamierzała poświęcić ten dzień na lekturę kronik i dawnych praw, aby zgłębić historię królestwa i poznać błędy jej poprzedników. Miała nadzieję, że to zajęcie odsunie jej myśli od dzisiejszego poranka.

Kilka godzin później w chłodnych kamiennych korytarzach zamku minęli się niespodziewanie. Kaen szedł z przeciwnika ubrany w ciemny kaftan, który podkreślał jego szerokie barki. Wciąż miała w pamięci obraz jego nagiego ciała skąpanego w promieniach słońca.

– Widzisz coś, co ci się podoba? – zapytał z tym swoim lekko kpiącym uśmiechem, kiedy jej spojrzenie mimowolnie zatrzymało się na nim dłużej, niż wypadało. – Udajesz obojętność, ale twoje oczy... One nigdy nie kłamią.

Alanya uniosła brodę, choć poczuła, jak policzki lekko się rozgrzały.

– A ty wciąż masz dar brania swoich złudzeń za prawdę.

– Złudzenia są przydatne – szepnął z cieniem uśmiechu. – Zwłaszcza gdy stają się wspomnieniami.



Ich ramiona musnęły się, kiedy zrównał z nią krok. Nie odsunęła się.

– Więc co tym razem chcesz wspominać? – spytała chłodno, choć serce biło jej szybciej.

– To, jak teraz na mnie patrzysz. – Zatrzymał spojrzenie na jej ustach tylko na ułamek sekundy, ale wystarczyło, by poczuła dreszcz. – Tak, jakbyś zastanawiała się, czy nie powinienem być bliżej.

Odetchnęła wolniej, niż chciała.

– A jeśli wcale się nie zastanawiam?

– To najpiękniejsze kłamstwo, jakie dziś usłyszałem.

Cisza zawisła między nimi, napięta, gęsta. Szli tak jeszcze chwilę, aż jego głos znów przeciął powietrze, tym razem spokojniejszy, choć wciąż podszyty tą samą intensywnością:

– Może będzie ci łatwiej, kiedy nie będzie mnie obok.

Zatrzymała się gwałtownie, odwracając ku niemu.

– Nie będzie?

Kaen uśmiechnął się półgębkiem, ale w jego oczach nie było lekkości.

– Virelda mnie wzywa. Sprawy, które nie mogą czekać.

Patrzył na nią tak, jakby odpowiedź, której nie wypowiedziała, była ważniejsza niż każde słowo.

Zanim zdążyła zapytać, kiedy wróci, minął ją i odszedł korytarzem, zostawiając po sobie zapach morskiej bryzy i wspomnienie, które znowu, wbrew jej woli, ogrzało jej policzki.

Odkąd Kaen opuścił Solvendorf, w zamku zapadła dziwna pustka. Korytarze, które jeszcze niedawno zdawały się



wibrować od jego obecności, teraz brzmiały jedynie echem kroków straży i szeptów dwórek. Alanya czuła tę zmianę boleśnie, choć starała się udawać, że jej to nie obchodzi.

Dlatego, gdy w jej rękach pojawiło się zaproszenie z czarnym woskiem i herbem Drakhaimu, poczuła coś pomiędzy czystą ciekawością a niepokojem. Bal na cześć królowej Lythary. Oficjalnie był to hołd dla jej panowania, nieoficjalnie wszyscy wiedzieli, że bale w Drakhaimie słynęły z przepychu i wyuzdania. Plotki głosiły, że w korytarzach zamku tej nocy działo się więcej niż w samej sali balowej.

– Musisz tam iść! – Wiktoria dosłownie wyrwała jej zaproszenie z dłoni, a w jej oczach pojawiły się iskry. – Słyszałaś historie. Czerwone wino, maski, muzyka, która nie pozwala stać w miejscu. I podobno królowa czasami sama wybiera gości do... – urwała, uśmiechając się zbyt szeroko, by było to niewinne.

– To tylko plotki – odparła Alanya, choć nie mogła ukryć rozbawienia. – Ale skoro tak nalegasz, to pojedziemy razem.

– Razem? – Wiktoria aż podskoczyła. – Naprawdę mnie zabierzesz?

– Potrzebuję damy dworu, a przede wszystkim przyjaciółki. A poza tym... – uśmiechnęła się z wyraźnym błyskiem w oczach – ...jeśli Lythara lubi robić wrażenie, to tym razem damy jej powód, by pamiętać ten wieczór.

Kolorystyka balu była jasno określona – czerni i czerwieni. Alanya postanowiła, że nie tylko spełni wymóg, ale też wykorzysta go przeciw samej królowej Drakhaimu.

Jej suknia była odważna, nawet jak na standardy tego dworu. Czerwień głęboka jak świeżo rozlana krew, dopasowana tak, że każdy ruch podkreślał jej nienaganną figurę. Cienkie



ramiączka ledwie trzymały materiał, a dekolt, sięgający niemal do pępka, odkrywał więcej, niż pozwalały sobie wyobrazić damy Solvendoru. Plecy były całkowicie odsłonięte, a materiał spływał do ziemi miękkimi fałdami, podkreślając krok królowej.

Wiktoria, świadoma swojego obfitego biustu, wybrała czarny gorset o satynowym połysku, ciasno opinający talię, i rozłożystą tiulową spódnicę do ziemi. Jej kreacja była bardziej zmysłowa w klasyczny sposób – stanowiła kontrast dla drapieżnej czerwieni Alanyi.

W dniu balu, gdy zegar wybił siódmą, obie stanęły gotowe w komnacie Alanyi. Na stoliku spoczywał ciężki czarny medalion z symbolem Drakhaimu – pieczęć zaproszenia tak samo piękna, jak złowroga.

– To przez to przejdziemy? – Wiktoria wskazała na medalion.

– Tak – potwierdziła Alanya, biorąc go w dłoń. Metal był zimny, ciężki, a na jego powierzchni połyskiwały drobne runy. – Ale nie otworzy się, dopóki zaproszony nie skropi go własną krwią. Towarzysze mogą przejść tylko wtedy, gdy trzymają dłoń zaproszonego.

Jakie to pretensjonalne – pomyślała, czując jednocześnie ukłucie irytacji. Jakby Drakhaim czerpał przyjemność z tego teatralnego rytuału, zmuszając gości do choćby najmniejszej ofiary.

Alanya wyjęła cienki sztylet, przecięła skórę na opuszcze palca i pozwoliła, by jedna kropla upadła na zimny metal. Medalion zadrżał, a runy rozjarzyły się głęboką czerwinią, jakby spijały jej krew z zadowoleniem.

Wiktoria ścisnęła jej dłoń mocniej, niż było to konieczne.

– Gotowa?



– Jeszcze nie – odparła Alanya z lekkim uśmiechem, poprawiając opadające ramiączko sukni. – Teraz tak.

Medalion w jej dłoniach rozgrzał się nagle, aż poczuła ciepło pod skórą. Powietrze przed nimi zafalowało, rozdzierając się na wir czerni i czerwieni, jakby rzeczywistość pękła pod własnym ciężarem. Z wnętrza portalu uderzył je powiew ciężkiego powietrza, niosącego ze sobą zapach dymu, kadzidła i czegoś ostrego, metalicznego – przypominającego krew. Serce Alanyi przyspieszyło, choć nie wiedziała, czy z ekscytacji, czy z niepokoju.

– Chodź – powiedziała i razem wkroczyły w wir.

Uczucie było jak upadek, ale trwało tylko chwilę. Gdy pod stopami znów poczuły twardy grunt, stały w ogromnym marmurowym przedsionku zamku Drakhaimu. Ściany były czarne jak obsydian, a na nich srebrzyły się symbole smoków i płomieni. Po obu stronach stały wysokie złote kandelabry, a od wejścia do głównej sali prowadził dywan w kolorze głębokiej czerwieni. Słyszać było muzykę – powolną, mroczną, przesyconą rytmem bębnów.

– Na pewno chcesz utrzyć nosa królowej? – wyszeptała Wiktoria, patrząc na Alanyę. – Bo wygląda na to, że ona też zamierza się bawić.

– Tym lepiej – odparła, unosząc podbródek. – Zobaczymy, która z nas będzie miała przewagę.

Wysokie drzwi sali balowej rozwarły się przed nimi, a fala ciepła, muzyki i zapachów uderzyła w Alanyę. Powietrze pachniało winem, kadzidłami i czymś ostrym, jakby rozgrzanym metalem. Setki świec w złotych kandelabrach rzucały drżące światło na czarne marmurowe posadzki, a od sufitu zwisały ciężkie kryształowe żyrandole, w których odbijały się płomienie.



Na końcu sali, na podwyższeniu, siedziała królowa Lythara. Jej suknia była czarna jak noc, a obszycia z rubinów błyszcząły przy każdym ruchu. Skórę miała alabastrową, włosy w kolorze czystego srebra spływały kaskadą na ramiona. Jej usta, karminowe i pełne, uniosły się w lekkim, świadomym uśmiechu, gdy spojrzała w stronę nowo przybyłych.

Obok królowej Lythary stał mężczyzna, niewiele młodszy, lecz zupełnie pozbawiony jej lodowatej powagi. Miał tak samo uderzającą urodę – srebrne włosy lśniące jak topniejący lód, rysy ostre i symetryczne, jakby wyrzeźbione przez najdoskonalszego artystę. Jednak w odróżnieniu od siostry w jego spojrzeniu kryło się coś, co budziło niepokój i fascynację jednocześnie – błysk mrocznego seksapilu, obietnica zabawy, która mogła skończyć się równie dobrze rozkoszą, jak zgubą.

Ubrany w czarne, haftowane srebrem szaty, nosił się z nonszalancką pewnością siebie. Był typem mężczyzny, który wchodził do sali i od razu wiedział, że wszystkie spojrzenia należą do niego – i korzystał z tego bez najmniejszych skrupułów.

Jego wzrok przesunął się powoli po wchodzących Alanyi i Wiktorii jak ostrze sunące po nagiej skórze. Na królowej Solvendoru zatrzymał się na moment – wystarczająco długo, by uznała to za świadome badanie przeciwnika. Ale kiedy jego spojrzenie przeniosło się na Wiktorię, zmieniło się subtelnie.

Jego oczy przybrały odcień rozbawionego zainteresowania, a kącik ust uniósł się lekko w półuśmiechu. Patrzył na nią dłużej, niż pozwalała etykieta, jakby obnażał ją samym spojrzeniem, a zarazem składał obietnicę, której znaczenie mogła odczytać tylko ona. Wiktoria, choć starała się zachować kamienną twarz, poczuła, że jej policzki zapłonęły.



Gdy tylko Alanya i Wiktoria przekroczyły próg, orkiestra przycichła, a rozmowy wśród gości ustały na kilka sekund, by ustąpić miejsca ciekawym spojrzeniom. Królowa Lythara powoli uniosła się z tronu. Każdy jej ruch był przemyślany i wyważony jak u drapieżnika, który nigdy nie wykonuje zbędnego kroku.

– Wasza wysokość... – Jej głos był gładki jak jedwab, lecz pod spodem kryła się stal. – Cóż za zaszczyt gościć nową królową Solvendoru w moim domu. – Zatrzymała spojrzenie na Alanyi, a w kącikach jej ust pojawił się lekki, niemal niewidoczny uśmiech. – Słyszałam, że wasze królestwo ma za sobą burzliwe tygodnie. Mam nadzieję, że przybyłaś, by choć na jedną noc zapomnieć o obowiązkach.

Alanya skłoniła głowę, starając się zachować nienaganny dworski ton.

– To dla mnie zaszczyt przyjąć zaproszenie, wasza wysokość. Wasze bale są... legendarne. – Uśmiechnęła się delikatnie, z pozoru uprzejmie, lecz w jej spojrzeniu błysnęła iskra wyzwania.

Lythara zmrużyła oczy, jakby dostrzegła ten błysk.

– Obyś sama mogła to ocenić. – Odwróciła się lekko, a wtedy jej brat, stojący tuż obok, skłonił się przed Alaną i Wiktorią.

– Lord Corien, mój młodszy brat – przedstawiła go królowa tonem, w którym mieszała się duma i nuta ostrzeżenia. – Nie pozwól, by jego urok odciągnął cię od rozmów politycznych, droga Alanyo.

Corien uśmiechnął się szerzej, a jego spojrzenie znowu odnalazło Wiktorię.



– Czyż uroda i polityka nie mogą iść w parze? – zapytał miękko z tym samym zmysłowym podtekstem, który sprawił, że Wiktorina po raz kolejny poczuła ciepło na karku.

Lythara, jakby znudzona, usiadła z powrotem na tronie.

– Bawcie się, królowo Solvendoru. Dzisiejsza noc należy do tańca, nie do wojen. – Jej uśmiech był zbyt zimny, by uznać go za szczery.

Alanya i Wiktorina ruszyły w tłum, ich suknie falowały w rytm kroków, a szmer rozmów i muzyka orkiestry spletały się w jedną, niemal hipnotyczną melodię. Wiktorina nie zdążyła nawet odwrócić się do przyjaciółki, kiedy ktoś z uśmiechem i zbyt pewnym siebie spojrzeniem porwał ją do tańca.

Alanya przystanęła przy krawędzi parkietu, pozwalając, by tłum gości przesunął się obok niej jak rzeka pełna migoczących barw i masek. Jej spojrzenie błędziło wśród sylwetek, szukając tej jednej znajomej postury, błękitnych oczu, które zawsze potrafiły wytrącić ją z równowagi. Liczyła, że Kaen tu będzie. Tak naprawdę ta suknia – cała w płynnej czerwieni, odważna i prowokująca – nie była dla królowej Lythary. Była dla niego.

Ale wśród delegacji królestwa Vireldy dostrzegła jedynie króla – jego chłodne, wyniosłe oblicze i ciężką koronę, która zdawała się przygniatać nie tylko głowę, ale i spojrzenie. Kaena nie było.

Zawód zakłuł ją jak drobny sztylet, a wtedy poczuła na sobie wzrok tak intensywny, że niemal uchwytne w powietrzu. Odwróciła głowę – i napotkała spojrzenie Ravena. Stał w cieniu, pół kroku za resztą swojej delegacji, jakby celowo oddzielał się od światła. Jego oczy, ciemne i przenikliwe, nie uciekały,



nie mrugały – po prostu patrzyły, badając każdy szczegół jej twarzy, sylwetki, sukni.

Alanya poczuła, jak przez kręgosłup przebiega jej chłodny dreszcz. Odwróciła się szybko, nie zamierzając wdawać się w polityczne przepychanki z mężczyzną, który już na wstępie wydawał się niebezpieczny. Ruszyła w gęstniejący tłum, pozwalając, by muzyka i ruch parkietu pochłonęły ją na nowo.

Bal w Drakhaimie był inny niż jakiekolwiek wydarzenie, w jakim Alanya uczestniczyła do tej pory. Sala balowa była ogromna, o wysokich sklepieniach, które wspierały kolumny oplecione czarnym jedwabiem i czerwonymi różami. Kryształowe żyrandole zwisały nisko, rzucając ciepłe złote światło na parkiet, którego czarno-czerwone marmurowe płyty lśniły niczym tafla jeziora. W powietrzu unosił się ciężki zapach kadzideł, słodki i odurzający, zmieszany z aromatem wina o głębokim, niemal czarnym kolorze.

Goście nie kryli, że przyszli tu po coś więcej niż taniec. Kobiety miały suknie tak skrojone, że ledwie zakrywały to, co powinny, a mężczyźni z dumą prezentowali nagie torsy lub ciasno opinające ich sylwetki kamizelki. Koronki mieszały się z prześwitami, jedwab ze skórą, a każdy element garderoby był jak obietnica tego, co może się wydarzyć po zakończeniu balu. Maski zakrywały oczy, ale zdradzały uśmiechy – jedne figlarne, inne drapieżne.

Orkiestra grała utwory o niskich, ciężkich dźwiękach, które wprawiały parkiet w powolny, falujący ruch. Parom daleko było do grzecznego walca – ciała zbliżały się do siebie tak mocno, że granica między tańcem a dotykiem zacierała się niemal całkowicie. W cieniu sali, przy stolikach obłożonych



owocami i kielichami, kilku gości szeptało sobie coś do ucha, śmiejąc się w sposób zbyt intymny jak na zwykłe rozmowy.

Wiktoria, z błyskiem w oku, w jednej chwili dała się porwać młodemu mężczyźnie w czarnej masce; jego ręka spoczęła na jej biodrze tak pewnie, jakby znał ją od lat. Alanya obserwowała to z lekkim rozbawieniem, ale też poczuciem, że ten bal był jak scena z innego świata – świata, w którym zasady były tylko cieniem, a pragnienia stawały się prawem.

Wśród gości widać było członków delegacji z różnych królestw – wojowników o nagich ramionach pokrytych tatuażami, kapłanki o sukniach z półprzezroczystych tkanin, które błyszczały w świetle świec, i arystokratów w jedwabiach tak gładkich, że zdawały się spływać po ciele jak woda. Rozmowy były przeplatane dotykiem – dłoń na karku, muśnięcie po nadgarstku, szept przy uchu, który wywoływał rumieniec.

Alanya przesuwiała się przez salę, czując, jak ten świat powoli ją oplata jak pajęczyna utkana z muzyki, zapachu i spojrzeń, które ślizgały się po jej sylwetce. Czuli, że każdy krok i gest jest obserwowany, oceniany, zapamiętywany.

Muzyka nagle ucichła. Trzepot wachlarzy, śmiechy i szepoty zgasły, jakby ktoś jednym gestem uciszył salę. Lythara powstała ze swego tronu, w sukni ciemniejszej niż noc, a jej oczy błyszczały jak dwa klejnoty.

– Drakhaim nie zna fałszywej skromności – oznajmiła, a jej głos wibrował w marmurze ścian. – Nasz bal to nie tylko uczta i taniec. To również tradycja.

Służba wniosła złoty kielich, tak wielki, że trzeba było trzymać go oburącz. Lythara uniosła go wysoko, potem sięgnęła po cienki sztylet. Ostrze przecięło jej dłoń, a kropla rubinowej krwi spłynęła do wina, barwiąc je ciemniejszym odcieniem.



– Królewscy goście – powiedziała, a jej spojrzenie zatrzymało się kolejno na Ravenie, Valmorze i wreszcie na Alanyi. – Wasza krew dopełni czarę.

Raven podszedł pierwszy, spokojny, niemal obojętny, ale w jego oczach płonęła ciekawość. Valmor zrobił to z zachwytem, jakby sama możliwość udziału w rytuale była zaszczytem. Alanya czuła, jak serce wali jej w piersi, gdy ostrze drasnęło jej skórę. Kropła spadła do kielicha, wirując w czerwieni jak żywy płomień.

Lythara podała naczynie wybranym młodym mężczyznom i kobietom, których wylosowała z tłumu. Ich dłonie drżały, gdy przykładali usta do brzegu kielicha.

W tej samej chwili wszystkie światła w sali zgasły. Zostały tylko czerwone pochodnie, rzucające na mury cienie jak z piekielnego teatru.

A potem powróciła muzyka, wolniejsza, cięższa, pełna pulsującego rytmu.

Lythara uniosła kielich wysoko, a jej głos poniósł się nad zgromadzonymi, pełen mocy i rozkosznej obietnicy:

– Niech rozpocznie się rytuał na cześć naszych królewskich gości. Niech wasze ciała staną się ofiarą, a wasze pragnienia modlitwą.

Na środku sali, tam, gdzie padł blask ognia, wybrani goście zaczęli zdejmować maski i szaty. Najpierw niepewnie, jakby wciąż obowiązywała ich etykieta, potem coraz odważniej. Dotykali się, całowali, oplatali ciała w tańcu, który nie miał już nic wspólnego z dworską gracją.

Na oczach zgromadzonych rodziła się orgia – z początku nieśmiała, niemal ceremonialna, lecz z każdą chwilą coraz śmielsza, aż przemieniła się w bezwstydną spektakl



namiętności. Każdy gest, każdy pocałunek zdawał się ofiarą na cześć krwi w kielichu, a blask czerwonych pochodni podsycał atmosferę jak ogień karmiony oliwą.

Valmor patrzył szeroko otwartymi oczami, niemal drżąc z podniecenia. Raven śledził widowisko chłodno, lecz z wyraźnym zainteresowaniem – jak ktoś, kto analizuje każdy gest. Alanya czuła, jak gorąco uderza jej do twarzy. Nie tylko przez sceny rozgrywane się na środku, ale przez to, że wiedziała, iż Lythara ją obserwuje.

I nie pomyliła się. Królowa Drakhaimu nagle znalazła się obok, jej dłoń opłótła rękę Alanyi z zaskakującą siłą.

– Ty i ja... – wyszeptała Lythara tak blisko, że Alanya poczuła jej oddech na szyi. – Jedyne królowe wśród tych mężczyzn. Tylko my wiemy, co znaczy rządzić i pragnąć jednocześnie. Wyzwól się. Pozwól, by instynkt poprowadził cię tam, gdzie boją się wejść inni.

Alanya wstrzymała oddech. Coś dziwnego pulsowało w jej wnętrzu, jakby niewidzialna siła pchała ją ku środkowi sali, ku ciałom wijącym się w czerwonym blasku pochodni. Krew w żyłach płynęła szybciej, serce biło jak oszalałe, a każdy dotyk i jęk wciągał ją głębiej w trans, którego częścią miała ochotę się stać. Emocje narastały, gorąco ścisnęło ją w piersi, ciało rwało się ku temu, co zakazane.

Ale wtedy w jej głowie odezwał się inny głos – chłodny, karcący, ten sam, który latami uczył ją, że królowej nie wolno się zatracić. Zaciśnęła palce na dłoni Lythary i powoli uniosła wzrok.

– Nie mogę... – wyszeptała, a jej głos zabrzmiał zbyt cicho, zbyt miękko. – To nie dla mnie.

Na ustach Lythary pojawił się uśmiech.



– Szkoda. – I ruszyła na środek sali, powoli jak drapieżna bogini, która sama staje się ofiarą.

Kiedy stanęła wśród orgii, rozległy się okrzyki. Ręce wyciągnęły się ku niej. Najpierw dotykali jej ramion, potem szyi, piersi, aż jej suknia zsunęła się na kamienną posadzkę niczym rozlana noc. Jej ciało było doskonałe, dumne, nieskrywane. Goście oblepili ją pocałunkami, dłońmi, jakby pili z niej moc.

Alanya nie mogła oderwać wzroku od środka sali. Lythara, naga i bezwstydna, tonęła w dłoniach i ustach swoich wybrańców, a każdy gest był coraz śmielszy, coraz bardziej drapieżny. Skóra królowej lśniła w czerwonym blasku pochodni, jakby była zrobiona z samego ognia. Alanya czuła, jak serce bije jej szybciej, jak gorąco wspina się po szyi. To nie był zwykły spektakl – to było wyzwanie.

Każdy szept, każdy jęk zdawał się wbijać w jej skórę, aż jej oddech stał się płytszy. Miała wrażenie, że jeśli popatrzy choćby o sekundę dłużej, sama da się wciągnąć w ten trans.

Poczuła obok siebie obecność. Raven. Stał blisko, zbyt blisko, aż jego cień mieszał się z jej cieniem. Czuła ciepło jego ciała, zapach skóry i chłód spojrzenia, które przesunęło się po jej twarzy, potem niżej.

Alanya zacisnęła dłonie na materiale sukni, jakby to mogło powstrzymać drżenie. Widzowie krzyczeli głośniejsze, Lythara odchyliła głowę, rozkosz malowała się na jej twarzy, a w tej kakofonii dźwięków Raven pochylił się lekko ku Alanyi.

– Ciężko odwrócić wzrok, prawda? – szepnął, głos miał niski, drażniący spokój.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Jego palce musnęły jej ramię – powoli, jakby badał jej reakcję. Delikatny gest, prawie niewinny, a jednak czuła go w całym ciele. Dreszcz przeszył ją



gwałtownie, głębiej, niż chciała przyznać, jakby dotknął czegoś więcej niż tylko skóry.

A potem – nagle, bez ostrzeżenia – światła zgasły. Krzyki, jęki i muzyka urwały się w jednej chwili.

Gdy czerwone pochodnie zapłonęły na nowo, Lythary i jej wybrańców już nie było. Na środku pozostał tylko pusty lśniący kielich. Muzyka powróciła, jakby to przedstawienie nigdy się nie odbyło.

Alanya wciąż miała w oczach obraz Lythary tonącej w dłoniach i ustach gości, kiedy poczuła za sobą ciepło – stanowcze, pewne, jakby ktoś przyłożył płomień do nagiej skóry.

– Królowo... – Głos był głęboki jak ciemny aksamit, w którym kryła się stal.

Nim zdołała się odwrócić, Raven poprowadził ją ku parkietowi. Jego dłoń, oparta na jej plecach, paliła skórę, a każde przesunięcie palców zostawiało po sobie elektryczne mrowienie.

W tej samej chwili orkiestra zmieniła ton. Ciężkie, wolne uderzenia bębnow mieszały się z przeciągłymi, mrocznymi smyczkami. To nie był taniec dla dam i dżentelmenów – to była pieśń Ognia i Cienia, rytuał, który wymagał bliskości.

Raven przyciągnął ją bliżej, niż dyktowałaby etykieta. Ich ciała niemal stykały się w każdym ruchu, a jego dłoń na jej talii poruszała się z precyzją kogoś, kto od dawna wie, jak prowadzić, i nie zamierza oddawać kontroli. Palce jego drugiej dłoni oplatały jej nadgarstek, uniemożliwiając najmniejsze cofnięcie się.

– Ogień i Cień... – wyszeptał tuż przy jej uchu. – Pasują do ciebie bardziej, niż myślisz.

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła. Jej biodra poruszały się w tym samym rytmie co jego, nogi odnajdywały kroki,



których nigdy się nie uczyła. Każde ich zbliżenie było zbyt intymne, zbyt odważne jak na taniec wśród tłumu, a jednak świat wokół zdawał się znikać.

Czuła jego oddech przy uchu, wolny i spokojny, zupełnie niepasujący do przyspieszonego rytmu jej serca. Gdy obracał ją w rytm muzyki, materiał jego płaszcza, muskając odsłoniętą skórę pleców, zostawiał po sobie ślad ciepła i... czegoś więcej. Jakby z każdym dotykem stawiał na niej niewidzialne znaki.

Jej kroki stawały się coraz śmielsze. Biodra poruszały się w idealnym rytmie z jego, dłonie same odnajdywały jego bark i szyję. Nie myślała o tym, co robi. Nie myślała w ogóle. Cała była muzyką, jego dotykiem, tym, jak ich ciała spletały się w wyuzdanej grze, której tempo dyktował bez słów.

Odurzenie było kompletne. Była jak w transie – zamknięta w świecie, w którym istnieli tylko oni i nuty, które zdawały się płynąć wprost pod jej skórę. Gdy ostatni dźwięk smyczka rozlał się po sali i orkiestra zamilkła, czar prysł. Świadomość wróciła nagle i boleśnie. Alanya oddech miała ciężki, jej dłonie wciąż spoczywały na jego ciele, a pamięć ruchów sprzed chwili paliła ją wstydem.

Zrozumiała. To nie była ona. To nie była jej decyzja. To była magia.

Złość uderzyła w nią jak zimna woda. Raven jednak nie wyglądał na zaskoczonego. Wprost przeciwnie – na jego ustach zagościł przebiegły, ledwie widoczny uśmiech. Spojrzał na nią tym swoim lodowatym wzrokiem, po czym lekko skłonił głowę.

– Dziękuję za taniec, królowo – wypowiedział to takim tonem, jakby wiedział o niej coś, czego ona jeszcze nie odkryła.



Zanim mogła odpowiedzieć, królowa Lythara pojawiła się u jego boku, jej palce oplótły zaborczo jego ramię. Złośliwy chichot królowej przeciął powietrze, gdy pociągnęła Ravena w stronę parkietu, zostawiając Alanyę w miejscu – rozedrganą, wściekłą i zbyt świadomą tego, jak reagowało jej ciało.

Alanya czuła, jak złość pulsuje w jej skroniach, a serce bije tak mocno, że zdawało się dudnić w uszach. Powietrze w sali było ciężkie od zapachu kadzideł, wina i ciał. Głośny śmiech królowej Drakhaimu wciąż brzmiał w jej głowie, a obraz przebiegłego uśmiechu Ravena palił ją od środka.

Nie oglądając się za siebie, wyszła szybkim krokiem z sali balowej, niemal biegnąc przez szerokie korytarze o ścianach zdobionych czarnym marmurem i złotymi ornamentami. Za każdym kolejnym zakrętem wpadała na sceny tak wyuzdane, że na jej twarzy mieszał się rumieniec złości i wstydu. Uczta Drakhaimu była... inna. Tańce ustąpiły miejsca grze ciał, a muzyka – niskim jękom i westchnieniom. Królewscy goście, w maskach i jedwabiach, zatracali się w namiętnościach na widoku, jakby cała twierdza zamieniła się w świątynię rozkoszy.

Przyspieszyła kroku, starając się odgonić obrazy, które widziała kątem oka, aż dotarła do długiego, ciemnego korytarza. Tu panował spokój, cisza i złudne poczucie, że nareszcie jest sama.

Dopiero wtedy ich dostrzegła.

Wiktoria stała oparta o kamienną kolumnę, a jej ciało było otulone ramionami mężczyzny. W półmroku widać było tylko błysk jego oczu i uśmiech – zbyt pewny siebie, zbyt swobodny. Lord Corien, brat królowej. Wiktoria miała zamglone spojrzenie, jej wargi były lekko rozchylone, policzki płonęły różem, a ciało zdawało się wtapiać w jego. Na jej twarzy



malował się stan błogości, jakiego Alanya nigdy wcześniej u niej nie widziała.

– Wiktoria! – Głos królowej zabrzmiał ostro i władczo.

Przyjaciółka drgnęła, jakby ktoś wyrwał ją z głębokiego snu. Mrugnęła gwałtownie, a rumieniec na jej twarzy pogłębił się.

Corien, zamiast się wycofać, uśmiechnął się zawadiacko, przesuając dłoń po talii Wiktorii w sposób, który sprawił, że Alanya zacisnęła pięści.

– Będzie mi jej brakować – powiedział leniwie, jego głos był głęboki, aksamitny i nieprzyzwoicie swobodny. – Macie w Solvendorze piękne klejnoty.

– Natychmiast nas stąd zabierz – wycodziła Alanya. – Do mojego królestwa. Teraz!

Corien uniósł brew, jakby chciał przedłużyć tę chwilę, ale posłusznie wykonał gest dłonią. Powietrze zadrżało, otwierając wir czarnej magii portalu.

Chwilę później obie stały w komnacie Alanyi, ciężko oddychając. Wiktoria opadła na fotel, wciąż zarumieniona, ze spojrzeniem, w którym tliło się coś, czego nie chciała wyjawić.

Alanya milczała, stojąc przy oknie i patrząc w ciemność za nim. Chłodne światło księżyca padało na jej dłoń, które mimowolnie zacisnęła w pięści. Gniew w niej buzował, mieszał się z poczuciem upokorzenia i czymś jeszcze. Czymś, co było jak cichy szept w jej wnętrzu, obiecujący, że nadejdzie dzień, w którym spojrzy im wszystkim w oczy z góry. Dzień, w którym to ona będzie decydować, kto komu zada ból.



ROZDZIAŁ VIII

Kolejne dni mijały w rytmie obowiązków, jakiego Alanya wcześniej nie знаła. Od świtu do południa zajmowały ją sprawy królestwa – raporty straży, decyzje o rozlokowaniu wojsk, nadzór nad dostawami i odbudową spalonych wiosek. Po południu przyjmowała posłów i wysłuchiwała długich, często męczących raportów o stanie granic, a wieczorami? Znikała w królewskich bibliotekach.

To przynosiło jej ukojenie. Wśród zapachu pergaminu, szelestu przewracanych kart i miękkiego blasku świec łatwiej było jej odsunąć myśli od wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach. Czuła, jak wraca jej spokój. Spała lepiej – sny przestały ją nawiedzać, a poranki nie przynosiły



już ze sobą niewyjaśnionego niepokoju. Obowiązki i cisza bibliotek stawały się jej tarczą, a jednocześnie miejscem, gdzie mogła odetchnąć od dworskiej gry pozorów.

Biblioteka była labiryntem wysokich regałów z ciemnego drewna, w których mieściły się setki ksiąg. Pomiędzy półkami wisiały lampy oliwne rzucające złociste plamy światła na kamienną posadzkę. Każdy zakamarek krył zapach innej epoki – kadzideł sprzed lat, suszonych ziół, a czasem stęchlizny, gdy dotykała pergaminów, których nikt nie otwierał od pokoleń.

Szukała opowieści o Thalyss, o tym, dlaczego zostało zamknięte i jakim sposobem wyrwa mogła się ponownie otworzyć. Jej badania nie były proste. Większość kronik z dawnych czasów została przepisana przez skrybów pod nadzorem władców, a więc była filtrowana przez ich wersję historii. To, co znajdowała, było pełne sprzeczności – opisy bitew nie zgadzały się co do dat, opowieści o demonach mieszały się z przypowieściami o bogach, a wędrowni bardowie snuli własne pieśni, w których fakty ginęły pod warstwą poezji.

Wieczorami siadała przy swoim ulubionym stoliku w głębi sali, gdzie nikt jej nie przeszkadzał. Na blacie zawsze leżało kilka otwartych ksiąg naraz – porównywała je, notowała drobne uwagi, skreślała całe akapity, kiedy natrafiała na sprzeczności. Mijały tygodnie, a ona wciąż nie była bliżej prawdy.

Pewnego wieczoru, gdy świece wypaliły się prawie do końca, poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Odwróciła się, lecz zobaczyła tylko pusty korytarz między półkami. Wróciła do lektury, ale cisza nagle wydała się inna – głębsza, niemal wstrzymana w oczekiwaniu.

– Widziałem cię tu już wiele razy, królowo. – Głos rozbrzmiał z mroku i sprawił, że drgnęła.



Zza regału wyłonił się stary skryba, którego już raz spotkała – w pierwszych dniach po koronacji. Był pochylony, chudy jak wysuszona gałąź, a jego oczy błyszczały w półmroku jak dwa odłamki obsydianu. W dłoniach niósł opasły tom owinięty w stare, poplamione płótno.

– Jeśli chcesz znać początki, musisz sięgnąć głębiej niż te księgi, które trzyma się na widoku. – Jego głos był chrapliwy, jakby każde słowo wysysało z niego powietrze.

Bez słowa położył przed nią wolumin i odsunął się o krok. Alanya ostrożnie rozwinęła materiał, a jej oczom ukazała się skórzana oprawa z wypalonym znakiem – kręgiem przeciętym czterema liniami, prostym, a jednak hipnotyzującym. Gdy przejechała po nim palcami, poczuła lekki chłód, jakby znak nie był częścią księgi, a czymś, co do niej nie należało.

Otworzyła tom i od razu zobaczyła litery, które zdawały się poruszać w blasku świec, jakby chciały uniknąć jej spojrzenia. Zapisano je prapoczątkowym językiem, który znała tylko we fragmentach. Zrozumiała jednak wystarczająco, by wyłowić sens, a każde słowo zdawało się ciążyć jak kamień:

Był czas, gdy świat był Jednią. Magia płynęła w korzeniach drzew i w krwi zwierząt, w tchnieniu wiatru i w ciszy skał. Nie miała imienia, bo imię nadaje panowanie, a nikt nad nią panować nie mógł.

Ale serca władców pełne były lęku. Powiedzieli: „Niech będzie rozdzielone, byśmy mogli to osiąść”. I rozdzielili Jednię na cztery strumienie – Powietrze, Ziemię, Wodę i Ogień – i każdy zamknął swój strumień w złotych bramach swego królestwa.



Lecz gdy Jednia została rozdarta, z rozdarcia wylał się piąty żywioł. Nie zrodził się z harmonii, lecz z pęknięcia, z bólu i krwi. Tak powstało Thalyss, królestwo Chaosu, którego moc płonie i gaśnie jak oddech bestii.

Cztery królestwa, przerażone, wzniosły Bramę Cienia, splatając swoje strumienie magii w więzy, które miały trwać wiecznie. Ale echo Thalyss nigdy nie ucichło. Mówią, że bije w sercach tych, którzy noszą w sobie więcej niż jeden strumień i że kiedy taki się narodzi, więzy zaczyną słabnąć.

Czytała powoli, pozwalając, by każde zdanie osiadło w jej myślach. Z każdym słowem czuła narastający chłód w kręgosłupie. To nie była bajka. To był zapis, który ktoś chciał ukryć.

Podniosła wzrok, by zapytać skrybę o więcej, ale jego już nie było. Mrok między regałami był pusty, choć przed chwilą widziała go wyraźnie.

Alanya długo wpatrywała się w znaki wypalone na skórzanej oprawie, jakby bała się, że znikną, jeśli odwróci wzrok. Wiedziała, że nie może zostawić tej książki w bibliotece – zbyt wiele razy widziała, jak cenne tomy znikają bez śladu, tak jak tamten wolumin ze znakiem skrzydeł i ostrzy.

Zawinęła pergamin ostrożnie w materiał, w którym przyniósł go skryba, i przycisnęła do piersi, czując pod palcami jego dziwny chłód. Nie powiedziała nikomu, nawet Wiktorii. Im mniej osób wiedziało, tym bezpieczniej.

W swojej komnacie odsunęła skrzynię przy oknie i odsłoniła niewielką, niemal niewidoczną szczelinę w kamiennej ścianie. Była tam od lat, wykorzystywana kiedyś przez jej ojca do ukrywania listów i pieczęci. Wsunęła tam zwój, upewniając



się, że jest zabezpieczony przed wilgocią i kurzem, a następnie przykryła szparę grubym dywanem.

Każdego dnia, gdy tylko znajdowała chwilę, wracała do tego miejsca. Siadała na podłodze z pergaminem rozłożonym na kolanach i śledziła palcami linie starożytnych liter. Słowa wciąż pozostawały częściowo zagadką, ale im dłużej je studiowała, tym bardziej czuła, że są czymś więcej niż tylko kroniką dawnych czasów.

Wracała do fragmentu o narodzinach tych, którzy noszą w sobie więcej niż jeden strumień. Za każdym razem czytała go wolniej, pozwalając, by brzmienie słów zapadało w jej świadomość głębiej i głębiej. Myśl, że mogło to dotyczyć terazniejszości, zaczynała kiełkować w jej umyśle – nieśmiało, ale z coraz większą siłą.

Czasem, gdy zamykała oczy, miała wrażenie, że pergamin drży w jej dłoniach, jakby sam chciał zdradzić jej odpowiedź. Ale nie robił tego – pozostawał cichy, a jego tajemnica opłatała ją coraz ciśniej.

Zmęczona natłokiem myśli i rozważań zapragnęła odrobiny zwyczajności. Zapukała do drzwi Wiktorii, a po chwili weszła do środka.

Jej przyjaciółka siedziała z kilkoma damami dworu, wszystkie były rozparte na poduszkach i dywanach. Śmiały się, wymyślając zabawne wersje starych pieśni, a jedna z dziewcząt udawała barda, grając na drewnianej łyżce jak na lutni. Gdy tylko Alanya pojawiła się w progu, rozległy się okrzyki zaskoczenia i radości.

– Wasza wysokość! – zawołała jedna z panien, ale ton miała bardziej rozbawiony niż ceremonialny. – Musicie nam pomóc, inaczej ta pieśń skończy się katastrofą!



– Alanya, chodź! – Wiktoria pociągnęła ją za rękę i posadziła obok siebie na miękkiej poduszce. – Zawsze miałaś najlepsze pomysły na rymowane głupstwa.

Dziewczęta przyjęły ją ciepło, bez cienia dystansu, choć przecież teraz była ich królową. Śmiech wypełniał komnatę, a ktoś od razu podał jej kubek z rozgrzewającym naparem.

Uśmiechała się, kiwała głową, nawet spróbowała dorzucić kilka słów do refrenu. Ale w środku myśli błądziły gdzie indziej. Obserwowała, jak dziewczęta żartują i chichoczą, i czuła, jak coś w niej tęskni za tą prostotą. Sama nie potrafiła się już w pełni zanurzyć w beztroskę, jakby dzieliła ją od nich cienka, niewidzialna zasłona.

Mimo to ciepło, z jakim ją przyjęły, otuliło ją jak miękkie płaszcz. Przez te kilka minut mogła siedzieć wśród nich nie jako królowa, lecz jako Alanya – ta sama dziewczyna, którą część z nich pamiętała jeszcze sprzed lat.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. W komnacie panowała cisza przerywana jedynie trzaskaniem drewna w kominku. Pergamin leżał ukryty w swojej skrytce, a jednak Alanya czuła jego obecność, jakby pulsował gdzieś w murach, wysyłając w jej stronę ciche, niewypowiedziane słowa.

W końcu zmorzył ją sen.

Stała na ogromnej, pustej równinie. Niebo nad jej głową było spowite ciężkimi czarnymi chmurami, a powietrze pachniało burzą. W oddali, na linii horyzontu, błyskały pojedyncze smugi światła – złote, czerwone, szmaragdowe i srebrnoszare – cztery kolory magii czterech królestw tańczące w dziwnym rytmie.

Obok niej ktoś stał, choć nie widziała jego twarzy. Wzrok przyciągały czarne, wilgotne od deszczu włosy opadające w nieładzie na kark i tatuaż lekko pulsujący bladym światłem. Nie



odwracał się. Nie mówił. Wiedziała jednak, że to do niej kieruje milczące wskazanie.

Mężczyzna uniósł rękę i skinął w stronę rozbitego monolitu stojącego pośrodku równiny. Kamień wyglądał, jakby został rozerwany od środka, a w szczelinach migotały te same cztery barwy co na horyzoncie. Jednak pośrodku, w samym sercu pęknięcia, pulsowała ciemna, niemal czarna poświata – przyciągająca, niepokojąca, jak oddech uśpionej bestii.

Alanya poczuła, że patrzy na coś ważnego, ale jej umysł nie potrafił jeszcze tego nazwać. Zrobiła krok naprzód i wtedy obraz zaczął się rozmywać.

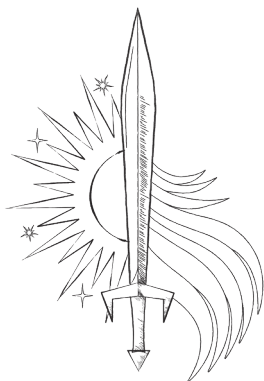
Z ciemności dobiegł ją niski, niemal rozkazujący szept, który przeszył ją na wskroś:

– Patrz uważnie, zanim wszystko zniknie...

Obraz rozpadł się w tumanach czarnego pyłu, a Alanya obudziła się gwałtownie, z sercem bijącym jak po długim biegu. Leżała w ciemnościach, wsłuchując się w ciszę komnaty, czuła, że to nie był tylko zwykły sen.

Wiedziała, że ma związek z Thalyss. Kolory, które w nim widziała, były zbyt wyraźne, zbyt symboliczne, by mogły być przypadkiem – cztery barwy czterech królestw pulsujące wokół ciemnego serca. Wciąż jednak nie potrafiła złożyć znaczenia tych obrazów w całość.

Tamtej nocy budziła się z gwałtownie bijącym sercem. Próbowowała odgonić szepty i wizje rozbitego monolitu, lecz obraz czarnych włosów i pulsującego tatuażu wciąż wisiał w jej myślach. Miała wrażenie, że sen zostawił w niej dziwny ciężar, którego nie mogła się pozbyć.



ROZDZIAŁ IX

Kilka dni później do pałacu wrócił Kaen. Zamiast spodziewanego ciepła powitania przywitała ją jego chłodna, niemal szorstka obecność. Rzucane słowa były krótkie, spojrzenia wymierzane jak ciosy. Było w tym coś, co wywoływało w niej gniew i niepokój.

Nie miała czasu się nad tym teraz zastanawiać, bo jej dzień wypełniały królewskie obowiązki. Przesiadywała w sali tronowej, przyjmując wysłanników i posłańców, a także przeglądając selekcję listów i prośb od poddanych. W takich chwilach myślała o ojcu. Jak znajdował czas, by słuchać ludzi, podejmować decyzje i mimo to zachowywać w sobie spokój, którego jej tak brakowało?



Dopiero wieczorem, gdy w zamku ucichły kroki, a po korytarzach niósł się jedynie odległy trzask pochodni, Alanya ruszyła w stronę jego komnaty. Serce biło jej szybciej nie tylko ze złości. Była świadoma, że idzie nocą do pokoju innego mężczyzny, w dodatku tego, który znał ją lepiej niż wielu innych. Myśl o tym sprawiała, że w jej wnętrzu mieszało się napięcie i ciekawość.

Drzwi otworzyły się niemal od razu. Kaen stał w półcieniu, bez koszuli, a blask pochodni podkreślał każdy mięsień jego torsu i ramion. Alanya zamarła w progu, pozwalając sobie na kilka drżących oddechów, podczas których śledziła wzrokiem każdy szczegół jego sylwetki.

Nie czekał. Dwa kroki wystarczyły, by znalazł się tuż przy niej. Jego dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. Jego skóra była gorąca, jakby dotknęła ognia, ruchy pewne, elektryzujące.

– Dobrze się bawiłaś na balu u królowej? – zapytał nisko, chrapliwie, a spojrzenie, które wbił w nią, paliło mocniej niż jego dłoń.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przycisnął ją plecami do ściany. Palce dłoni sunęły powoli wzdłuż jej ramienia – prowokacyjnie, zbyt wolno. Zatrzymały się na biodrze i zacisnęły mocno, władczo. Drugą rękę oparł obok jej głowy, zamykając ją w kręgu własnego ciała.

– A może – nachylił się tak, że jego oddech muskał jej usta – to taniec z Ravenem podobał ci się bardziej?

Jego głos był jak jedwab przeciągnięty po ostrzu noża – gładki, niebezpieczny. Jej serce waliło, kiedy jego dłoń przesunęła się z biodra w górę, muskając talię, potem piersi, prowokując ją każdym dotykiem. Kciuk drażnił krawędź sukni, odsłaniając kawałek nagiej skóry, aż poczuła, że oddech więźnie jej w gardle.



– Puść mnie – wyszeptała, ale głos zabrzmiał bardziej jak błaganie niż rozkaz.

Uśmiechnął się kąciakiem ust, drapieźnie.

– Może kiedy przestaniesz udawać, że ci się to nie podoba.

Jego dłoń, pewna i niecierpliwa, zaczęła podciągać materiał sukni coraz wyżej, coraz bliżej miejsca, które pulsowało od pragnienia i strachu zarazem. Ciepło rozlewało się po jej ciele, a chaos w głowie narastał z każdą sekundą. Alanya czuła, że jeśli nie przerwie, zatraci się w tej chwili całkowicie.

Jeszcze przez moment ich spojrzenia zwały się w napięciu gęstym jak burza. Potem, kierowana nagłym przypływem gniewu i desperacji, odepchnęła go z całej siły. Kaen cofnął się o krok, a na jego ustach zatańczył krótki, niepokojąco rozbawiony uśmiech.

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła do drzwi, czując, że jeśli zostanie choć chwilę dłużej, przestanie panować nad sobą.

Wróciła do swojej komnaty z przyspieszonym oddechem. Zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i zacisnęła dłonie w pięści.

To był gniew – powtarzała w myślach. Lecz gdy położyła się w łóżku, wciąż czuła na skórze ślad jego dotyku.

Leżała w ciemności, wsłuchując się we własny nierówny oddech. Obrazy wracały – jego nagie ramiona, linia mięśni na torsie, ciepło dłoni, które wodziły po jej ciele, jakby znały każdą jego krzywiznę. Wiedziała, że powinna odepchnąć te myśli, ale zamiast tego pozwalała im zostać, smakując zakazane wrażenia. I choć wmawiała sobie, że to był tylko gniew, noc miała być długa...

Nie mogła zasnąć, męczona wspomnieniami jego dłoni na swoim ciele. Każdy fragment skóry zdawał się płonąć od



wyobrażenia jego dotyku. W ciemności komnaty jej oddech stawał się coraz cięższy, a ciało napięło się jak struna. Zamknęła oczy i pozwoliła, by obraz Kaena wyłonił się z mroku – bliski, silny, z tym spojrzeniem, które więziło ją bardziej niż ramiona.

Jej palce odnalazły miejsce, które pulsowało najgłośniejszym, domagającym się ulgi. Poruszała się powoli, niemal nieśmiało, a w głowie malowała scenę: to jego dłonie błądzą po jej ciele, to jego usta szepczą tuż przy uchu słowa, które paliły mocniej niż ogień.

Każdy ruch przybliżał ją do granicy, aż zapomniała o własnym oddechu. Liczył się tylko on – jego obecność w wyobraźni, jego imię, które na końcu wyrwało się z jej ust drżącym głosem, gdy rozkosz zalała ją falą.

Blask porannego słońca przedzierał się przez ciężkie zasłony, drażniąc zamknięte powieki. Alanya obróciła się na bok, czując, jak mięśnie wciąż mają w sobie resztki napięcia z poprzedniego wieczoru. Myśli o Kaenie były jak cierń – im bardziej próbowała je wyrwać, tym głębiej się wbijały.

Podniosła się z łóżka, odgarniając włosy z twarzy. Zimna woda z misy obmyła jej dłonie i kark, przynosząc chwilowe otrzeźwienie. *To był gniew* – powtarzała w myślach jak mantrę, choć tamto dotknięcie wciąż odzywało się na jej skórze.

Postanowiła, że nie da mu satysfakcji. Że spotkają się jak królowa i gość jej dworu – nic więcej. Jej kroki w korytarzach były pewne, a głowę uniosła wysoko.

Spotkali się niedaleko dziedzińca. Kaen stał z jednym z dowódców straży, ale gdy ją zobaczył, spojrzenie przesunęło się po niej powoli, jakby znów była w jego komnacie.



– Wasza wysokość – odezwał się neutralnym tonem, składając głowę, ale w jego oczach błysnęło coś, co tylko ona potrafiła odczytać.

– Książę – odpowiedziała równie chłodno, choć wewnątrz czuła, że to spojrzenie wytrąca ją z równowagi.

Przez krótką chwilę utkwili w sobie wzrok, zbyt długo jak na czysto oficjalną wymianę uprzejmości. Kaen sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął starannie złożony pergamin.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, podając jej zaproszenie opieczetowane herbem Vireldy.

Alanya przyjęła je ostrożnie, badając spojrzeniem jego twarz.

– Wiesz, o co chodzi?

Na jego ustach pojawił się lekki, niewyjaśniony uśmiech.

– Mój ojciec chciałby bliżej poznać nową królową. W końcu przyjaźnił się z twoim ojcem.

Alanya skinęła głową, chowając pergamin do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– W takim razie odpowiem na zaproszenie i przygotuję się do drogi. – Zrobiła krok w bok, jakby zamierzała go minąć, ale mimowolnie spytała: – Wyruszysz razem z moim orszakiem?

– Pojadę wcześniej – odpowiedział tonem, w którym formalność mieszała się z czymś trudnym do uchwycenia. – Muszę przygotować Vireldę na twój przyjazd.

Ich spojrzenia spotkały się raz jeszcze, zupełnie oficjalnie, a jednak oboje doskonale wiedzieli, że w tej wymianie słów kryło się coś więcej niż czysta polityka.

Zanim jeszcze zabrała się za przygotowania do podróży, postanowiła przejść się po zamku. Poczuła jakiś przypływ nostalgii.



Najpierw zajrzała do sali, w której jako dziecko uczyła się czytać. Stare półki z księgami pachniały kurzem i pergaminem, a na biurku wciąż stała ta sama klepsydra, którą kiedyś przewracała z nudów, gdy lekcje się dłużyły. Przesunęła palcami po gładkim drewnie i na moment zobaczyła siebie sprzed lat – pochyloną, z włosami w nieładzie, wpatrzoną w litery, które wtedy wydawały się cięższe niż miecz.

Potem skręciła ku wąskiemu balkonowi, z którego rozciągał się widok na dziedziniec. Tam ojciec stawiał ją pierwszy raz na koniu. Pamiętała jego rękę na jej plecach, pewną, ciepłą, dającą poczucie bezpieczeństwa. Teraz, gdy spojrzała na pusty plac, miała wrażenie, że echo jego głosu wciąż unosi się między murami.

Na końcu trafiła do kaplicy. Zatrzymała się przy wysokim kamiennym oknie, przez które wpadało światło. To było jej ulubione miejsce – cisza, chłód, zapach kadzidła. Przez kolorowe witraże wpadało blade światło, rozlewając się na kamienne ławy. Usiadła w ciszy, pozwalając myślom na moment zamilknąć.

– Wasza wysokość? – odezwał się kobiecy głos. Królowa obróciła się i zobaczyła kapłankę Zakonu Słońca. Siwa, drobna, w prostym habicie, niosła kosz z ziołami i świecami. – Nie sądziłam, że dziś tu kogoś spotkam – powiedziała spokojnie, uśmiechając się lekko.

– Czasem dobrze przejść się do miejsc, które pamięta się od dziecka – odparła Alanya, unosząc kącik ust.

Kapłanka uśmiechnęła się delikatnie.

– Tu łatwiej złapać oddech niż w salach zamku.

Przeszła obok, stawiając kosz na ołtarzu. Alanya została jeszcze chwilę, patrząc, jak kobieta zapala kilka świec



i porządkuje naczynia tak zwyczajnie, że na moment sama poczuła się jak dawna dziewczynka, a nie królowa szykująca się do wyjazdu.

Dopiero gdy wróciła na korytarz, poczuła, że musi odłożyć wspomnienia. Nostalgia była słodka, ale czas naglił. Czekają na nią obowiązki, przygotowania i cały zamek, który musiał nadal funkcjonować bez zarzutu podczas jej nieobecności.

Wieczorem, w swojej komnacie, Alanya rozłożyła na stole mapy i listy. Zgodnie z protokołem musiała zabrać ze sobą switę – kilku doradców, straż przyboczną, kapłankę Złotego Słońca i oczywiście Wiktorię, której obecność miała być dla niej tarczą i wsparciem w świecie obcych murów.

Nie było tu miejsca na przypadek. Wizyta w Vireldzie oznaczała wejście do królestwa, które słynęło z politycznej gry prowadzonej w cieniu korytarzy, nie zaś w salach obrad. Każdy ruch, gest czy słowo mogły zostać użyte przeciwko niej.

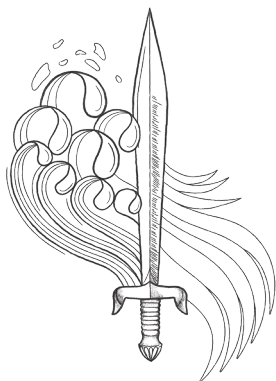
Poleciła przygotować stroje odpowiadające tamtejszemu dworskiemu zwyczajowi – jedwabie w odcieniach błękitu i srebra, haftowane motywami fal i pereł. W sercu jednak wiedziała, że Virelda nie jest miejscem, w którym tkanina czy kolor mogą ją obronić.

Wiktoria, gdy tylko usłyszała o podróży, natychmiast wpadła w wir przygotowań, przewracając w skrzyniach pełnych tkanin i klejnotów, układając fryzury w wyobraźni.

– Tam wszyscy są podobno piękni i przebiegli – powiedziała z błyskiem w oku. – Trzeba będzie wyglądać tak, żeby nie mogli oderwać wzroku.



Alanya uśmiechnęła się krótko, ale nie skomentowała. Wiedziała, że to nie spojrzenia będą jej największym zmartwieniem. Myślami wracała do zaproszenia i do sposobu, w jaki Kaen je wręczył – chłodny ton, wymijająca odpowiedź, dystans. Jakby w tej podróży chodziło o coś więcej niż tylko dyplomatyczną kurtuazję.



ROZDZIAŁ X

W dniu wyjazdu orszak ustawiono na wewnętrznym dziedzińcu. Nad nimi, na niebie, zbierały się ciemne chmury, ale powietrze było ciężkie i wilgotne, jak przed burzą. Alanya wsiadła na konia, a Wiktoria dosiadła wierzchowca tuż obok niej, trzymając w dłoniach płaszcz obszyty srebrnym futrem.

Gdy bramy zamku zamknęły się za nimi, Alanya odwróciła się na moment, pozwalając spojrzeniu pobiec po murach, które od dziecka były jej domem. Teraz ruszała do królestwa, w którym nic nie było pewne, a każdy uśmiech mógł kryć ostrze.

Podróż trwała trzy dni, ale ostatni jej odcinek, prowadzący wzdłuż wybrzeża Vireldy, sprawił, że wszyscy jechali



w milczeniu. Nad oceanem unosiła się delikatna mgła, przez którą majaczyły wieże stolicy. W promieniach popołudniowego słońca wyglądały jak utkane ze szkła i srebra – nierealne, zbyt doskonałe, by mogły być prawdziwe.

W miarę jak zbliżali się do bram miasta, Alanya zaczęła dostrzegać, że to, co z daleka wydawało się czystym kryształem, w rzeczywistości było zbudowane z ciemnego kamienia pokrytego cienką warstwą magicznej powłoki. Iluzja, której zadaniem było oślepić i zachwycić przyjezdnych, a jednocześnie ukryć prawdziwe oblicze Vireldy.

Ulice były szerokie, wyłożone połyskującymi płytami, które odbijały światło niczym tafla wody. Na każdym rogu stali lokalni iluzjoniści, tworzący z powietrza fantazyjne obrazy – statki sunące po niewidzialnym morzu, kwiaty rozkwitające w dłoniach, stada świetlistych ptaków unoszących się nad głowami przechodniów. Ale przy dokładniejszym spojrzeniu Alanya dostrzegała drobne pęknięcia w tej fasadzie – brudne zaułki ukryte za lśniącymi witrynami, żebraków maskowanych zakłęciami, by ich nędza była mniej widoczna.

Pałac Vireldy wyrastał nad miastem niczym korona z lodu i srebra. Jego mury zmieniały kolor w zależności od kąta padania światła – od bieli perły po głęboki, morski błękit. W rzeczywistości, jak wiedzieli nieliczni, budowla była stara i ciężka, a jej serce kryło się za warstwami magicznych złudzeń.

Dziedzinec, na który wjechał orszak, otoczony był fontannami o wodzie mieniającej się barwami tęczy. Alanya miała wrażenie, że w każdej z nich coś się porusza – cienie przypominające smukłe morskie istoty, które znikwały, gdy próbowała się im przyjrzeć.



Przy wejściu do pałacu czekała grupa dworzan ubranych w jedwabie tak gładkie i połyskujące, że wyglądały niemal jak przelewające się szkło. Ich twarze były nieskazitelnie piękne, lecz zbyt równe, zbyt symetryczne. Alanya domyśliła się, że tutaj nawet rysy mogły być kształtowane magią.

Wielka Sala Vireldy przywitała ich blaskiem tysięcy kryształowych lamp zawieszonych pod sklepieniem tak wysoko, że przypominało to rozgwieżdżone niebo. Podłoga zdawała się falować – cienka warstwa iluzji sprawiała, że każdy krok wyglądał jak stąpanie po spokojnej tafli wody.

Dla Alanyi to miejsce było jednocześnie zachwycające i niepokojące. Virelda nie pokazywała swojego prawdziwego oblicza, a każdy detal mówił jedno – tu wszystko jest kontrolowane, a nic nie jest tym, czym się wydaje.

Gdy orszak zatrzymał się przed głównymi schodami pałacu, z jego wnętrza wyszedł wysoki mężczyzna w długiej ciemnogrnatowej szacie zdobionej srebrnymi haftami w kształcie fal. Korona, którą nosił, była cienka, niemal filigranowa, lecz połyskiwała tak, jakby została wykuta z samego światła oceanu. Twarz miał gładką, bez oznak wieku, a oczy chłodne, jakby zrobione z lodu i głębi morza jednocześnie.

– Witaj, Alanyo – odezwał się miękkim tonem, w którym pobrzmiewało coś trudnego do uchwycenia. – Minęło wiele lat od twojej wizyty tutaj...

Objął ją krótko, jakby gest ten był obowiązkiem, a nie odruchem serca. Chłód metalu jego ozdobnego naramiennika dotknął jej skóry, nim zdążyła odsunąć się o krok.

Kaen stał tuż obok wyprostowany jak struna i choć zwykle jego spojrzenie miało w sobie nutę prowokacji lub ironii, tym



razem było poważne, spięte. Nie spuszczał oczu z ojca ani na chwilę.

Po krótkiej wymianie formalnych uprzejmości król skinął na jednego z dworzan.

– Zaprowadźcie królową Solvendoru i jej damę do komnat. Niech się odświeżą po podróży.

Wiktoria rzuciła Alanyi porozumiewawcze spojrzenie, gdy obie ruszyły za służkami przez kolejne korytarze pałacu.

Ich komnaty były przestronne, pełne miękkich jedwabnych poduch i zasłon, które falowały przy najlżejszym podmuchu powietrza, jakby ożywione własnym rytmem. Ściany zdobiły mozaiki z błękitnych i srebrzystych kamieni, mieniących się w świetle niczym tafla jeziora. Z sufitu zwieszały się kryształowe lampy rzucające na marmurową posadzkę migotliwe refleksy, które układały się w kształty przypominające ryby i morskie rośliny – złudzenia tak realne, że aż chciało się wyciągnąć dłoń, by ich dotknąć. Zza wysokich okien roztaczał się widok na ogrody, gdzie woda spływała kaskadami do lśniących sadzawek, a popołudniowe światło barwiło wszystko złotem i srebrem, stapiając rzeczywistość z iluzją. Zanim drzwi się za nimi zamknęły, do środka wszedł wysłannik króla.

– Jego wysokość prosi, by przed kolacją królowa udała się z nim na spacer po królewskich ogrodach. – Ton sługi był uprzejmy, lecz Alanya odniosła wrażenie, że prośba ta nie podlegała odmowie.

Ogrody Vireldy ciągnęły się jak nieskończony sen. Słońce przebijało się przez gałęzie drzew, których liście migotały w barwach, jakich nie było w żadnym innym królestwie – złoto, czern i szafir mieszały się, jakby sama natura poddawała



się Iluzji. Alanya stała u boku króla, starając się wyglądać spokojnie, choć każdy krok pogłębiał jej wewnętrzne napięcie.

Przy królu czuła się nieswojo. Nie był władcą, który mówił wiele, ale każde jego słowo zdawało się mieć ciężar i znaczenie. Nawet jego milczenie brzmiało jak groźba.

– Virelda to królestwo, które edukuje – odezwał się w końcu. – Uczy, że Iluzja bywa równie cenna jak prawda. Czasem nawet cenniejsza. Bo to, w co wierzą inni, staje się rzeczywistością.

Alanya skinęła głową, choć w jej wnętrzu zrodził się chłód. Nie wiedziała, czy to była uwaga skierowana do niej, czy tylko ogólna filozofia króla.

Ich kroki doprowadziły ich do bocznej alejki. Zarośnięta ścieżka tonęła w cieniu, a na jej końcu majaczyła fontanna. Inna niż reszta – nie mieniła się czarem, lecz była opuszczona, ciężka od mchów i winorośli. Kamienie popękały, woda prawie nie płynęła, ale właśnie w tej zapomnianej scenerii było coś znajomego.

Alanya zatrzymała się gwałtownie. Serce zabiło jej mocniej, gdy przypomniła sobie sen. Ten sam kształt, te same obrysy...

– Zdziwiające – odezwał się król, stając obok niej – ile piękna może kryć się w tym, co inni uznają za ruinę.

Mówił spokojnie, ale Alanya poczuła, że jego słowa mają drugie dno.

– Sojusze są jak ta fontanna – dodał po chwili. – Gdy się o nie dba, tryskają pełnią życia. Gdy o nich zapomnisz, porastają mchem. Ale nawet wtedy zawsze można je odnowić. Oczyszczyć. Przywrócić im dawną świetność.

Jego spojrzenie spoczęło na niej. Niby mimochodem, ale wystarczająco długo, by jej ciało zeszytywniało.



– Solvendor potrzebuje sojuszy – odezwał się, spokojnym, głębokim głosem. – Nie chwilowych układów, które rozsypują się jak popiół przy pierwszym podmuchu. Potrzebuje więzi, które trwają przez pokolenia.

Alanya poczuła, jak jej palce zaciskają się mocniej na materiale sukni. Wiedziała już, dokąd zmierzają te słowa, a jednak ciężar, z jakim je wypowiadał, sprawiał, że trudno było jej oddychać.

– Są sojusze, które spisuje się atramentem – ciągnął dalej, zatrzymując się i spoglądając na nią z góry. – I są takie, które zapisuje się krwią. Te drugie... są wieczne. – Jego spojrzenie nie pozostawiało miejsca na niedopowiedzenia. – Twój ojciec zrozumiałby to natychmiast – dodał jeszcze ciszej z nutą pewności. – I jestem przekonany, że nie zawahałby się zgodzić na małżeństwo, które scementuje nasze królestwa.

Słowa zawisły w powietrzu ciężkie jak żelazo, wydawały się wnikać głębiej niż chłód wieczornego powietrza. Na chwilę zapadła cisza. Alanya odwróciła wzrok ku fontannie, jakby chciała ukryć, że czuje, jak wzbiera w niej gniew. Nie mogła pozwolić, by ją sprowokował, ale jego słowa dźwięczały w niej jak zatrute echo.

– Wasza wysokość – powiedziała powoli, zimno, choć wewnątrz wszystko w niej kipiało – każde przymierze wymaga czasu. Nawet to najtrwalsze.

Król uśmiechnął się lekko, prawie zadowolony. Jakby właśnie tego się po niej spodziewał.

Ruszył dalej, zostawiając ją z tyłu. A Alanya, choć zmusiła się, by podążyć za nim, wiedziała jedno – te ogrody kryły zbyt wiele sekretów. I ten dzień przyniósł jej nie tylko wspomnienie wizji, ale i gorzki smak politycznej gry, w której nagle stała się pionkiem i... nagrodą.



Sala jadalniana Vireldy tonęła w złocie i w blasku iluzji. Świece płonęły w kryształowych kielichach, jakby same były winem, a ogromny stół uginał się od dań, które zmieniały kształty na oczach gości. Raz pieczony paw, raz soczyste winogrona, raz ryba w srebrzystych łuskach.

Król Vireldy był w swoim żywiole. Mówił dużo, głośno, a każdy jego komentarz tonął w śmiechu gości. Opowiadał o dawnych zwycięstwach, o iluzjach, którymi oszukał niejednego wroga, a nawet o czasach, gdy pił wino ramieniem z ojcem Alanyi.

– Twój ojciec miał głowę twardą jak skała, ale serce otwarte – rzucił z rozbawieniem, unosząc kielich. – A ty, moja droga, masz jego spojrzenie. Tyle że... znacznie piękniejsze.

Zebrani roześmiali się, choć śmiech brzmiał jak echo króla, nie ich własne.

Alanya skinęła tylko głową, nie dając się wciągnąć w jego grę. Piła niewiele, bawiła się delikatnym ruchem kielicha, a jej spojrzenie często uciekało w bok, ku płonącym świecom, zamiast ku królowi.

– Wasza wysokość jest wyjątkowo milcząca dziś wieczorem – zauważył gospodarz z udawaną troską. – Czyżby wina były za cierpkie?

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziała spokojnie. – Wina są doskonałe.

Jej ton był nienaganny, lecz zimny. Milczenie, które budowała wokół siebie, było jak mur – i Kaen to dostrzegał. Siedząc po jej lewej stronie, patrzył na nią częściej, niż powinien. Była zbyt sztywna, zbyt zamknięta. To nie była ta sama Alanya, którą znał.



Król jednak bawił się tym milczeniem, jakby każde jej krótkie słowo było przyprawą, która dodawała mu ochoty na więcej. Rozśmieszał wszystkich przy stole, rzucał półsłówka, a raz nawet teatralnie opowiedział, jak Iluzja odmieniła jego wizerunek na polu bitwy:

– Moje wojsko widziało mnie jako trzech. A moi wrogowie jako nikogo. I kto wygrał? – Rozłożył ręce, a śmiech rozległ się ponownie.

Tylko Alanya nie zaśmiała się ani razu.

Do swojej komnaty wróciła szybkim krokiem. Uczucie duszności towarzyszyło jej od pierwszej chwili, gdy król rzucił jej to spojrzenie – spojrzenie, które mówiło więcej niż jego słowa. Teraz potrzebowała ciszy, spokoju, oddechu.

Ale drzwi otworzyły się gwałtownie, zanim zdążyła choćby zdjąć kolecyki.

Kaen.

Stał w progu spięty, a w jego oczach błyszczał gniew.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał bez wstępów. – Na kolacji nie powiedziałaś prawie słowa. Siedziałaś tam jak cień.

Alanya uniosła podbródek.

– Nie wiesz, co się dzieje? – Jej głos był zimny, jakby każde słowo niosło ze sobą ostrze. – Naprawdę niczego się nie domyślasz?

Zamknął drzwi i podszedł bliżej.

– Powiedz to wprost – wycodził. – Nie każ mi zgadywać.

Jej serce biło coraz szybciej, a gniew dławił gardło.

– Twój ojciec – wyrzuciła – chce się ze mną ożenić.



Słowa zawisły między nimi jak miecz. Kaen zamarł, a potem zacisnął pięści tak mocno, że pobieleły mu knykie.

– Przysięgam, domyślałem się, że może to zasugerować – powiedział przez zaciśnięte zęby – ale nie wierzyłem, że posunie się tak daleko. – Jego gniew był szczery, gwałtowny, niemal dziki. Zanim zdążyła się odsunąć, podszedł bliżej i chwycił ją za ramiona. Przycisnął do ściany, a jego oczy płonęły jak nigdy wcześniej. – Nie pozwolę mu na to – wysyczał.

Potem pochylił się i pocałował ją zaborczo, tak gwałtownie, że na moment zapomniała, gdzie się znajduje. Nie czekał na jej odpowiedź. Jego usta zderzyły się z jej ustami z brutalną determinacją, jakby chciał w ten sposób wykrzyczeć wszystko, czego nie mógł powiedzieć słowami. Pocałunek był dziki, zachłanny, bez reszty. Jedną dłoń miał na jej karku, drugą na biodrze, przyciskając ją do zimnego kamienia ściany, jakby bał się, że jeśli ją puści – zniknie.

Alanya próbowała protestować, ale jej ciało zdradziło ją pierwsze. Czuła ciepło jego skóry, napięcie mięśni pod cienką koszulą, zapach wody i soli, który zawsze go otaczał. Drżała pod tym dotykiem, nienawidząc siebie za to, że zamiast się odsunąć, wciągała głębiej powietrze, szukając jego smaku.

Jego palce przesunęły się po jej taliu wyżej, ku krzywiźnie piersi, zatrzymując się niebezpiecznie blisko.

– Tak cię pamiętam... – wyszeptał chrapliwie między pocałunkami. – Zawsze próbujesz mnie odpychać, a twoje ciało i tak mnie woła.

– Przestań... – wydusiła, ale głos zadrżał jej w gardle.

Kaen uśmiechnął się gorzko, jakby jej protesty były tylko dodatkowym paliwem. Przesunął ustami wzdłuż jej szyi, zostawiając ślad gorącego oddechu na jej skórze.



– Czy to tak bardzo cię oburza, Alanyo? – mruknął przy jej uchu. – Czy może bardziej przeraża, że tego właśnie chcesz?

Serce waliło jej jak młot. Gniew walczył w niej z pożądaniem, a jego dłonie na jej ciele tylko podsycaly oba uczucia. Na moment straciła kontrolę, odchylając głowę, pozwalając mu przesunąć wargami po jej obojczyku. To właśnie ten moment wytrącił ją z równowagi. Jakby nagle usłyszała samą siebie uwięzioną w cudzym pragnieniu.

– Puść mnie! – krzyknęła, popychając go z całą siłą, jaka w niej była.

Odsunął się gwałtownie, ale w jego oczach płonął dziki, nieposkromiony ogień.

– Nie wiesz, co robisz – warknął, ale nie podszedł bliżej.

Alanya drżała, jej oddech rwał się jak po biegu.

– To ty nie wiesz – syknęła, a potem, nie patrząc na niego, otworzyła drzwi i wybiegła z komnaty.

Biegła przed siebie, jakby mogła uciec od ciężaru dłoni, które jeszcze przed chwilą obejmowały jej ciało. Jej oddech rwał się w krótkich, spazmatycznych uderzeniach, serce tłukło się w piersi jak u zwierzęcia w potrzasku. Nie wiedziała, dokąd zmierza, aż nagle znalazła się w ogrodach.

Zatrzymała się, chwytając powietrze z trudem, jakby brakowało jej tlenu. Potarła dłonią skronie, zamknęła oczy i zmusiła się, by wyrównać oddech.

– Jesteś królową – wyszeptała do siebie, zbyt cicho, by ktoś mógł to usłyszeć. – Królową, nie dziewczyną, którą można przyprzeć do ściany. Musisz być silna...

Musiała trzymać się tego, inaczej utonąłaby w chaosie pragnień i wstydu.

Poczuła to.



Najpierw ledwie uchwytnie drżenie w powietrzu, coś pomiędzy szmerem a szeptem. A potem jakby echo... pieśni? Nie była pewna. Melodia, której nie знаła, a która brzmiała tak, jakby śpiewała ją sama ziemia. Głos był słodki, miękki, ale niósł w sobie coś niepokojącego – wołał ją.

Alanya uniosła głowę. Serce zabiło jej mocniej. Nie wiedziała, skąd dochodzi ten dźwięk, ale jej nogi poruszyły się same, jakby nie była już panią własnego ciała. Kroki prowadziły ją głębiej w ogrody, ku cienistym alejkom, gdzie lampiony gasły, a noc obejmowała wszystko szczelniej.

Pieśń była coraz wyraźniejsza, coraz bardziej magnetyczna. Nie mogła się jej oprzeć.

Zobaczyła starą fontannę, zarośniętą bluszczem i mchem. Woda w jej czaszy była nieruchoma, a na jej powierzchni nienaturalnie wyraźnie odbijały się gwiazdy. Alanya podeszła bliżej, niemal w transie, i dotknęła kamiennej krawędzi. Miała wrażenie, że to miejsce zna nie tylko ze snu, ale z głębokiego wspomnienia, jakby w jej duszy zapisano je od zawsze.

– Zgubiłaś się, moja droga? – rozległ się nagle głos tuż za nią. Zamarła.

Czyjaś dłoń opadła na jej ramię, była ciężka, ale nie nachalna – raczej jak znak, że ucieczka nie ma sensu. Alanya zeszytywniała, a następnie powoli obróciła głowę.

Król Vireldy stał za nią, uśmiechając się w sposób, który nie dawał jej żadnego komfortu. W jego spojrzeniu było coś, co sprawiło, że w jednej chwili poczuła się naga – nie fizycznie, lecz wewnętrznie, jakby przejrzał ją na wylot.

– Ogrody... – wydusiła szybko, starając się, by jej głos brzmiał pewnie, choć serce wciąż biło zbyt szybko. – Zrobiły



na mnie takie wrażenie, że nie mogłam odmówić sobie nocnego spaceru.

– Och, wierzę – odparł miękko, a jego dłoń wciąż spoczywała na jej ramieniu. – Te ogrody kryją wiele... rzeczy, o których większość gości nie ma pojęcia.

Zabrzmiało to tak, jakby mówił o czymś znacznie więcej niż o kwiatach czy fontannach.

Przyglądał się jej długo z tym samym dziwnym zainteresowaniem, w którym było coś więcej niż zwykła ciekawość gospodarza. Coś jak... wiedza. Jakby dostrzegał w niej coś, czego ona sama jeszcze nie rozumiała.

– Wyglądasz, jakbyś coś odnalazła – dodał, przechylając głowę. – Albo... coś odnalazło ciebie.

Alanya poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Szybko odsunęła się od fontanny, robiąc krok w tył.

– Powinnam wracać do swoich komnat – powiedziała chłodno, prostując plecy.

Król uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby jej słowa go bawiły.

– Oczywiście. Dobranoc, królowo Solvendoru.

Dopiero kiedy się odwrócił i odszedł w ciemność, Alanya pozwoliła sobie wypuścić drżące oddech

Wracała szybkim krokiem, czując, jak serce wciąż wali jej jak szalone. Głos, fontanna, spojrzenie króla – wszystko to kłębiło się w jej głowie. Nie wiedziała, co bardziej ją dręczyło: wizja, którą zdawała się widzieć w tej wodzie, czy sugestia, że król Vireldy wiedział o niej coś, czego ona sama jeszcze nie odkryła.

Kiedy dotarła do swojej komnaty, padła na łóżko wyczerpana, wciąż myśląc o fontannie, o Kaenie i o dłoni, która kilka



chwil temu spoczywała na jej ramieniu. Nie wiedziała, co znaczą sny ani dlaczego los prowadzi ją w te miejsca. Ale jedno wiedziała na pewno – spokój, którego szukała, był coraz dalej.

Zasnęła pogrążona w chaosie myśli, w którym mieszały się obraz fontanny, twarz Kaena i cień króla, który przyglądał jej się tak, jakby znał jej przeznaczenie.